№ 40. Warszawa, dnia 1 Października (19 Września) 1881 r. **Rok I**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Do dzisiejszego numeru dołączamy, jako bezpłatny dodatek, pierwszy zeszyt (ark. 1—6) dzieła Brandesa **Główne prądy literatury XIX w.** Dodatek też otrzymują wszyscy dotychczasowi abonenci; dla tego przesyłamy obecny numer **Prawdy** nawet tym, którzy przedpłaty na następny kwartał nie wnieśli.

NOWY UKAZ.

Przed kilku dniami ogłoszony został w *Praw. Wiestniku* Najwyższy Ukaz, „o środkach ochrony porządku państwowego i spokoju społecznego," unieważniający moc 21 poprzednio w tym celu wydanych rozporządzeń i określający nowe prawidła zapobiegania tak zwanym przestępstwom politycznym. Ukaz ogłasza w „położeniu wyjątkowem," t. j. „w stanie ochrony wzmocnionej" następujące części państwa: gubernie: petersburską, moskiewską, charkowską, połtawską, czernihowską, kijowską, wołyńską, podolską, chersońską i besarabską; powiaty: symferopolski, ewpatoryjski, jałtyński, teodozyjski, perekopski i miasta: Berdiańsk gubernii tauryckiej, Woroneż z powiatem, Rostow nad Donem i Mariupol, gubernii ekaterynosławskiej, wreszcie grodonaczalstwa: odeskie, taganrogskie i kercz-jenikalskoje. Jak widzimy, rząd zakreśla inne granice geograficzne niebezpieczeństwu niż te, które wytykał p. Katków, gdyż obejmuje północ, środek i południe państwa, a nie dotyka wschodu i zachodu, t. j. nas, którzy przecie mieliśmy być gniazdem sprzysiężeń. Obok przepisów ogólnych, powierzających ministrowi spraw wewnętrznych główne kierownictwo i wskazujących mu drogę rozszerzania stanu wyjątkowego na inne, dotąd wyłączone miejscowości, ukaz rozpada się na cztery działy: pierwszy wykłada sposób postępowania władz przy „ochronie wzmocnionej," drugi — przy „ochronie nadzwyczajnej," trzeci — odnosi się do miejscowości, nieogłoszonych w „położeniu wyjątkowem," a ostatni do „wysyłki administracyjnej."

Co do pierwszego, kierownikami działań są jenerał-gubernatorzy, a w braku ich gubernatorzy i naczelnicy miast *(gradonaczalniki)*. Mają oni prawo: wydawać wszelkie rozporządzenia, zapobiegające naruszeniu bezpieczeństwa i spokoju publicznego; wyznaczać za przekroczenia tych rozporządzeń kary do wysokości trzechmiesięcznego aresztu lub 500 rs.; zakazywać wszelkich zgromadzeń ludowych (*narodnych*), społecznych a nawet prywatnych; zamykać zakłady przemysłowe i handlowe; wydalać osobistości podejrzane. Jenerał-gubernatorowie (lub minister spr. wewn.) mogą oddawać pod sąd wojenny wszystkie tej natury sprawy i żądać sądzenia ich przy drzwiach zamkniętych. Naturalnie organa wykonawcze winny pozostawać pod czujną kontrolą władz wyższych, policya zaś i żandarmerya mają moc aresztowania i dokonywania rewizyi z wiedzą prokuratury.

Powyższe przepisy „ochrony wzmocnionej" zachowują swą siłę i przy „nadzwyczajnej," zaopatrzonej nadto w następujące dopełnienia. Jenerał-gubernatorowie posiadają władzę nietylko głównych naczelników kraju cywilnych, ale i wojskowych w czasie wojennym. Mogą oni: do zarządu pojedyńczych miejscowości mianować osoby ze szczególnem pełnomocnictwem; tworzyć dla użytku policyi specyalne komendy wojskowe; wyłączać z ogólnej procedury pewne sprawy; nakładać sekwestr na własność ruchomą i nieruchomą oraz na dochody; osadzać drogą administracyjną winnych w więzieniu do 3 miesięcy lub karać pieniężnie do 3,000 rs.; usuwać wszelkich urzędników, nawet z wyboru, aż do trzech pierwszych klas; nie dozwalać na zebrania wszelkich instytucyj miejskich oraz ziemskich i określać przedmioty ich narad; zawieszać wydawnictwa peryodyczne i zamykać na miesiąc szkoły.

Stan ten ma trwać rok, gdyby jednakże okazała się potrzeba (której uznanie należy do ministra spraw wewnętrznych), może być przedłużony nadal.

Jeżeli przepisy o „ochronie wzmocnionej" i „nadzwyczajnej," jako niedotyczące naszego kraju, mogą nas interesować tylko pośrednio lub jako możliwość znalezienia się w tej—mówiąc słowami ukazu—„smutnej konieczności," to znowu trzeci, właściwie czwarty jego dział, określający „przepisy dla miejscowości nieogłoszonych w położeniu wyjątkowem," posiada dla nas szczególną wagę. Prawo zastosowania do każdej miejscowości "ochrony wzmocnionej" lub „nadzwyczajnej" zależy od ministra spraw wewnętrznych na przedstawienie jenerał-gubernatora, a wtedy wchodą w życie wszytkie poprzednio zaznaczone przepisy. W każdym zaś wypadku miejscowi naczelnicy policyi i żandarmeryi mogą: osoby podejrzane o przestępstwa polityczne poddawać rewizyi i aresztowi do wysokości siedmiu dni, zawiadomiwszy jednocześnie jenerał-gubernatora i prokuraturę. Minister zaś spraw wewnętrznych, łącznie z ministrem sprawiedliwości, decydują o wyłączaniu procesów z pod zwykłego sądownictwa i o przekazywaniu ich wojennemu. Położenie tedy miejscowości, nieogłoszonych w stanie wyjątkowym, różni się od pozostających w tym stanie tylko pełnomocnictwem władz administracyjnych, które jednak każdej chwili mogą być opatrzone w prawo działania nieograniczonego.

Pozostaje ostatni ustęp ukazu o „wysyłce administracyjnej.“ Procedura jej następująca: odnośna władza miejscowa robi odpowiednie przedstawienie do ministra spraw wewnętrznych, przy którym ustanowiona jest osobna komisya, rozpatrująca tego rodzaju sprawy i rozstrzygająca je w ostatecznej instancyi.

Natura tego Ukazu, wywołana—jak sam prawodawca mówi — „smutną koniecznością,“ wywarła na opinii publicznej głębokie wrażenie. Upatrywano *nowy* krok wstecz. Nie sądzimy. Według naszego przekonania akt ten nie zawiera *nowych* obostrzeń, ale systematyzuje dawne, jest on tylko kodyfikacyą poprzednich rozporządzeń, wydanych przeciwko przestępstwom politycznym. Unieważnienie owych 21 rozporządzeń nie wyraża wcale usunięcia ich łagodności; jeżeli na podstawie kilkudziesięciu różnymi czasy ogłoszonych i często sprzecznych ukazów wypracowano jeden, istnienie ich było zbytecznem. Po ustanowieniu jenerał-gubernatorstw, po wprowadzeniu procedury wojennej do spraw politycznych, władze administracyjne posiadły już ten szeroki zakres pełnomocnictwa, który im przepisy z 16 września przyznają. Jenerał-gubernatorzy zarówno przedtem, jak i dziś mieli prawo wydawać rozporządzenia, aresztować, więzić, polecać dokonywanie rewizyi i wysyłać drogą administracyjną. W gruncie rzeczy zatem nic się nie zmieniło prócz formuły prawa, rozdrobnionego dotąd, zwartego w jedną całość dzisiaj. Sam Ukaz zresztą wyraźnie mówi: „przejrzawszy łącznie wszystkie prawa czasowe, wydane w latach ostatnich, uznaliśmy za dobre rozkazać zastąpić je przez osobną Ustawę (*Położenije*), w którejby wskazane były z większą niż dotąd ścisłością z jednej strony granice pełnomocnictwa władz administracyjnych w okolicznościach nadzwyczajnych, a z drugiej—istota obowiązków, włożonych na ludność przez wyjątkowe warunki życia państwowego.“ Nie pojmujemy też głębokiego oddechu *Nowosti*, które z „lżejszem sercem“ teraz dopiero wiedzą czego się trzymać i co czynić należy. O tem było dawno wszystkim wiadomo.

Inne gazety rosyjskie wyrażają pogląd przez nas wypowiedziany, mianowicie, że ostatni ukaz jest kodyfikacyą praw wyjątkowych przeciw przestępcom politycznym. Niektóre tylko, wiecznie zajęte wynajdywaniem nowych epok w życiu Rosyi, przędą pajęczynę śmiesznych mędrkowań, ulatujących z wiatrem pustych słów i przesypujących jedynie kupki dziennikarskiego piasku. Sztuki tej nauczył prasę rosyjską wynalazczy *Gołos*, który, gdyby żył dzisiaj, z pewnością zadziwiłby świat przy tej sposobności jednym z swych sławnych sofistycznych wynalazków. *Poriadok* pociesza się myślą, że prawo wyjątkowe trwać będzie tylko rok, poczem zwykły bieg rzeczy powróci do swej kolei. Nie życzymy, ale sądzimy, że to pociecha bardzo wątpliwa. Wprawdzie żywioły rewolucyjne są dziś w Rosyi bardzo osłabione, jeżeli wszakże rząd widzi w nich tyle niebezpieczeństwa, że przedsiębierze tak surowe środki, w ciągu jednego roku celu nie osiągnie. Można więc z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuszczać, że po upływie terminu minister spraw wewn. skorzysta z § 12 i przedłuży trwanie zarówno „wzmocnionej“ jak i „nadzwyczajnej ochrony.“ Wobec takiego przypuszczenia pozostaje nam, polakom, pragnąć jedynie, ażeby burza, która zawisła nad znaczną częścią Cesarstwa, ominęła jak dotąd szczęśliwie naszą ziemię.

Objaśniliśmy zasady nowego Ukazu—sądzenie ich, jak czytelnikowi wiadomo, nie jest naszym przywilejem.

RUINA DROBNEJ WŁASNOŚCI.

II.

Liczba 100,000 mórg ziemi, wcielonych pomiędzy r. 1823 a 1880 w skład posiadłości folwarcznej, konstatuje *jedynie* smutny pod względem ekonomicznym fakt upadku drobnej własności. Mówimy *jedynie*, albowiem po za względami ekonomicznymi kryje się sprawa polskiej narodowości w księstwie poznańskiem, sprawa w ścisłym z upadkiem drobnej własności będąca związku. Jeżeli z stanowiska ekonomicznego fakt wcielenia 100,000 mórg ziemi w skład posiadłości folwarcznej dostatecznie mówi sam za się; to dla sprawy narodowości polskiej w księstwie poznańskiem ważnem jest bardzo: 1) pochodzenie właścicieli dominiów, którzy nabyli gospodarstwa włościańskie; 2) wykazanie liczby gospodarstw, istniejących dotychczas, lecz przeszłych z rąk polskich w niemieckie. Urzędowa statystyka pruska w wykazach swoich nie uwzględnia tej kwestyi: pomija takową niewątpliwie dla tego, żeby przez ujawnienie przerażającego w księstwie poznańskiem upadku sił polskich nie dzwonić na alarm i w obywatelach, przyszłość rodzimego żywiołu mających na sercu, nie budzić czujności. Za to inicyatywa prywatna polska przerażające gromadzi dane.

Według p. Józefa Czapli, autora napisanej *dla ludu* i świeżo ogłoszonej w Toruniu broszury: *Przyczyny naszego upadku oraz środki zaradcze*, w powiecie inowrocławskim stracili włościanie polscy przez ostatnie lat dziesięć $^1/_9$ posiadłości, t. j. 10,000 mórg ziemi, a nabywcami byli przeważnie niemcy i żydzi. I nie dość na tem: hipoteki włościan obciąża moc długów. Wzorowo uprawne grunta, piękny inwentarz i okazałe budynki, — wszystko to w znacznej części do wierzycieli należy i przejdzie wkrótce w ręce niemieckie. Stan gospodarstw w księstwie poznańskiem, powiada p. Czapla, podobny jest do robactwem roztoczonego grzyba: po wierzchu wygląda czerstwo, we wnętrzu mieści zgniliznę.

Rzecz to szczególna, że na drobnych majątkach w księstwie poznańskiem bankrutują wyłącznie rodziny polskie. W powiatach niemieckich, w tych samych warunkach mniej stosunkowo ginie gospodarstw, w niektórych nawet liczba drobnej własności kosztem rozparcelowanych folwarków powiększyła się znacznie. Czemuż przypisać, że, gdy kolonista niemiecki z gospodarstwa wyrugować się nie da i dorabia się grosza, włościanin polski wychodzi z niego

---

[1])

Z mojego pamiętnika.

L. Börnego.

I.

Frankfurt, 29 kwietnia 1830.

Nie myślałem, żebym cię kiedy zobaczył, ty głupiutka, biała książeczko. Otóż jestem i znów rozmawiam z tobą o starych i nowych dziejach; słuchasz mię cierpliwie i przyznajesz mi słuszność jak zawsze.

Być słabym, więzionym, jęczeć w kajdanach, znosić wszystko cierpliwie, póki tyran się nie zmęczy! Nie. Mężczyzna honoru powinien wstydzić się być słabym dłużej nad cztery tygodnie. A ja nim byłem rok przeszło. Jakże kochamy życie, które nas tak mało kocha, i które nakształt oswojonego dzikiego zwierza zapomina o swym panu i ucieka na wolność, skoro znajdzie otwartą klatkę!

I cóż przytem zyskujemy? Późne cierpienia nie odświeżają już naszej duszy. To nie burza, gasząca pragnienie wrzącej młodością natury — to wiatr jesienny, który resztki zieloności drzew zrywa i smutnie rzęży i jęczy, jak pierś umierającego — a zwiędłe wspomnienia rozpraszają się w tym wichrze.

Niegdyś w piękniejszych latach... zbliżyłem się do róży i zraniłem się głęboko jej kolcami — wówczas choroba ocaliła moją duszę. A gdy powstałem, i natura wyzdrowiała. Stopniał już śnieg i mój ból i gniew. Przebaczyłem wszystko, zapomniałem o wszystkiem. Pierś moja była otwartą, jak przedsionek kolumnowej, starożytnej świątyni i wietrzyk wiosenny rozpływał się we mnie, jak ja w nim. A teraz!? Wyzdrowienie i wiosna znów się spotkały, ale co za odmiana! Jestem tylko trochę swobodniejszy, bo załatwiłem niemiłą sprawę.

Czyż to są zielone drzewa? Jest-że to błękit niebios? Uroczy zachód słońca? Ach tak, wszystko ładnie malowane, bardzo nawet podobne; widziałem oryginał.

Dawniej słowik był dla mnie różą powietrza; upajałem się wonią jego tonów, a ostre cienie raniły zachwycone ucho. Teraz tylko jego jeszcze słucham z prawdziwem zadowoleniem. Piękne dary wiosny jaśniały cudownie przedemną; jak dziecię nie umiałem się zdecydować, czego najpierw użyć, co najpierw wziąć. Ociągałem się z życzeniem. Tam gaj, tu dolina, w dali góry i młyn i szmer wodospadu? Teraz mogę namyślać się i wybierać.

Wiosna, słowik, jutrzenka, miłosne spojrzenie — to nic. Młodość jest wszystkiem. Świat jest zwierciadłem — co w nie spojrzy, z niego wyjrzy. To tylko oddaje, cośmy mu pożyczyli, nie dziękuje nawet promieniami lichych odsetek. Gdyby można to zwierciadło nawskroś przejrzeć, gdyby można szał światła zetrzeć! Świat leży po za życiem; lecz gdzie koniec życia? Świat jest niczem.

Młodość — słowo to ciemne. My starzy, mądrzy ludzi wymawiamy je i nie rozumiemy. Sen z zeszłego tygodnia jest dla nas jawniejszym. I dobrze, że tak jest; dobrze, że w późnym wieku zapominamy o młodości, inaczej bowiem byłoby źle, powstałyby wątpliwości, któreby nas na śmierć zamęczyły.

z torbą i kijem? Dla czego, pyta autor broszury, tylko synowie niemieckich kolonistów i mieszczan wychodzą na zdolnych rzemieślników, fabrykantów, techników, maszynistów, urzędników, lekarzy, profesorów i kupców? dla czego niejeden intruz, który na kieliszku, cackach i figlach rozpoczął dorobek, na starość osiadł na trzosie, wykierował synów na ludzi, wyposażył i wydał córki korzystnie za mąż? Dla czego z drugiej znów strony rodziny polskie, chociaż same do roboty się kwapią i dzieci napędzają do pracy, podlegają bankructwu? Dla czego synowie gospodarzy lub mieszczan, przed laty jeszcze dwudziestu zamożnych, przy drogach żelaznych szukają dzisiaj zajęcia z motyką i szpadlem, tłuką na szosach kamienie, przy budowlach pomagają rozrabiać glinę lub też niemieckim przedsiębiorcom i majstrom podają cegłę?...

Przyczynę ruiny materyalnej ludności polskiej znajduje p. Czapla w upadku moralnym.

Na własnym osiadłszy gruncie, zachorował włościanin na pana: po pańsku począł próżnować i szczękać kieliszkiem. Próżniactwu i opilstwu przybiegli na pomoc usłużni spekulanci, chętnie na czystych hipotekach lokujący gotówkę. Rozpróżniaczony i rozpiły gospodarz o wychowanie dzieci dbał mało. Posługiwał się niemi, lecz wtajemniczać w interesa swoje ich nie chciał; nieprzezornym i nieprzywykłym do samodzielnego działania obdłużony zostawiał majątek z masą procesowych papierów i pozwów. Zamiast w kłopocie szukać ratunku u swoich, polegał zawsze włościanin na radach niemca i żyda, — w ich tylko uwierzył rozum, za nic nieważąc zdania sąsiadów, braci lub krewnych. Kobieta znowu jest lalką: wiele o wartości swojej rozumie, a o gospodarstwo dba mało i dla męża prawdziwy stanowi ciężar. Przy swatach rola rostrzyga wszystko, z powodu czego dzieci ojcowiznę dzielą na części: synowie, żeby zamożne pojąć małżonki; córki, żeby bogato wyjść za mąż. W rodzinie panują kłótnie i spory; w stosunkach z sąsiadami matactwa, brak solidarności i krzycząca niesłowność. Zaprowadzanie niestosownych meljoracyj i dźwiganie przez naśladownictwo zbyt kosztownych budowli w związku z okolicznościami, wymienionemi powyżej, sprowadzają właśnie ową ruinę.

Następstwa błędów, leżących w charakterze włościan, potęgują jeszcze okoliczności zewnętrzne, albowiem materyalne podkopanie żywiołów miejscowych na korzyść przybłędów z nad Sprei; obrócenie ludności polskiej na wyrobników, do niemieckiej wprzężonych taczki, dla rządu pruskiego pożądanem jest bardzo. Czyż prawo z r. 1823 wytknęło sobie cel inny?

W r. 1840, t. j. w chwili, gdy organizacya stosunków włościańskich ukończoną prawie została zupełnie, liczba gospodarzy uregulowanych wyniosła 23,750. Licząc $4^1/_2$ głowy na rodzinę gospodarza, wypadnie, że na 1,364,000 ogólnej liczby mieszkańców w księstwie poznańskiem, zyskało na regulacyi jedynie 106,875 osób, co nie wynosi $^1/_{12}$ całej ludności. Po odtrąceniu mieszkańców miast, fabrykantów, rękodzielników, szlachty i żydów, jeszcze przeszło $^2/_3$ całej ludności przypadnie na klasę wieśniaczą, pozbawioną własności i żyjącą wyłącznie z wyrobku. W owe $^2/_3$, dla braku opieki ze strony rządu, wsiąka powoli i 23,750 rodzin włościańskich, w r. 1840 mających własność. Znaczna liczba ich gospodarstw już znikła; ku wielkiej radości rządu przepadnie wkrótce i reszta.

Sm.

CZWARTY KONGRES LITERACKI

(w Wiedniu).

Czytelnik zapewnie bez skrupułu uwolni nas od opisu zabaw i wycieczek uczestników literackiego kongresu, które dla nich tylko posiadały ważność. Nie połykając więc zdaleka ślinek na myśl obiadu, urządzonego przez „Concordię,“ która ugaszczała głównie „czoło narodów,“ przejdźmy do poważnej strony zjazdu.

Jeżeli za sto lat potomność dowie się, że grono ludzi, obowiązanych do posiadania rozumu, zwłóczyło się z różnych kątów Europy do Paryża, Londynu, Lizbony, Wiednia po to tylko, ażeby sobie powiedzieć corocznie, że „własność literacka, jak każda inna, musi być zabezpieczoną,“ to doprawdy westchnie nad zbytkiem naszego czasu i niedostatkiem naszego rozsądku. Czwarty już „kongres literacki“ zaprząta uwagę ogólną swemi obradami i po raz czwarty nie może się zdobyć na nic innego, tylko na życzenie ubezpieczenia własności literackiej. Czyż to nie prawdziwa galerya Jowialskich? I gdyby przynajmniej w tych „kongresach“ uczestniczyli ludzie, z których cały świat żyje i cały świat okrada; ale, jak na ironię, najwięcej hałasują pisarze, którzy albo korzystają z innych, albo nikt z nich nie korzysta. Bo obejrzmy nasze przedstawicielstwo. Jednego posła nikt dotąd nie obrabował a wielu posądzało o pożyczki zaciągane u francuzów; nadto ów p. poseł jest redaktorem pisma, które przedrukowywa (*Gazeta Lwowska*, Lam) bez ceremonii nawet autorów swojskich. Drugi deputat jest komedyopisarzem, któremu jednogłośnie przyznano tylko zręczność artystycznego kompilatora; trzeci napisał zaledwie kilka fraszek, a czwarty — nic. Pozostaje więc jedyny bogacz — Kraszewski, którego także o ile wiemy, żadna obca literatura nie okradła. I ci ludzie, nadto obywatele kraju, którego ubogie piśmiennictwo przy jakiejkolwiek konwencyi popadłoby w nędzę, włóczą się po kongresach dla gardłowania, przepraszam—milczącego pomagania ubezpieczeniu własności literackiej. Niedość na tem. Ci sami nasi posłowie obcałowywują publicznie każdego cudzoziemca, który raczy przetłomaczyć (bez poszanowania własności literackiej) utwór już nie p. Zalewskiego lub Szymanowskiego, ale nawet Mickiewicza lub Słowackiego. Wszyscy pamiętamy, jakie to kadzidło z naszej prasy owiało p. Miena lub Weissa za to, że złoto naszych geniuszów przebili na niemiecką monetę. To też napróżno z tego fałszywego położenia chciał sofizmatem wy-

---

Do jakiego wieku przeznacza nas urodzenie? do jakiego się kształcimy? do jakiego wychowujemy nasze dzieci? Pomyśleliście o tem kiedykolwiek? Wątpię. Do wszelkich! Tak powinno być, ale tak nie jest. Chłopiec staje się ofiarą młodzieńca, młodzieniec—mężczyzny, mężczyzna—starca. A gdy starzec zechce nakoniec użyć swobody, która aż nadto dojrzała, i żyć dla życia, przychodzi religia i mówi: O nie tak! stary młodzieńcze, nie dość szkoły, życie przychodzi dopiero po śmierci, trumna jest kołyską twej wolności. *Religia?* Nie kłammy i udawajmy. To mówi kościół, ten awanturnik, krążący po świecie pod setkami nazwisk i postaci i który okłamuje łatwowiernych, że dwa królestwa, jedno na górze, wypłacające przyjaciołom, którzy mu pożyczyli pieniędzy, a drugie na dole, karzące tych, którzy mu z nieufnością odmówili kredytu.

Po co mamy czyste złoto lat młodych wypożyczać bladej, niepewnej starości, przyrzekającej znaczne odsetki, gdyż drwi sobie ze wszystkich rewersów i nie lęka się bankructwa?

Nieustannie żyjemy tylko dla przyszłości — ciągle strojenie, a koncert nigdy się nie rozpoczyna. Weksel spłaca się nowym wekslem—bezprzykładne łotrostwo. Odsetki zwiększają kapitał — a głupcy, do których gotówka życia nigdy się nie uśmiechała, uważają się za bogatych, gdy balon ich nadziei dość wysoko wzlatuje. I jakiż koniec!? Mój Boże, bywasz przecież dobrym, przemów raz, nie bądź milczącym jak dyplomata, powiedz nam jaki koniec.

Możecie to przeczytać wydrukowane: ze wszystkich rodzących się ludzi połowa umiera w wieku dziecinnym, mniej niż połowa sięga lat młodzieńczych, zaledwie trzecia część dochodzi do roku pięćdziesiątego, wieku, w którym rozpoczynają się zbiory z naszych prac, trudów i kłopotów—a więc dla dobra tej małej trzeciej części poświęca się dobro dwu wielkich trzecich! Do młodych należy świat, starzy w nim gospodarzą, używają go i panują. Rodzice, szkoły, wychowanie, państwo, wszyscy troszczą się o starców, młodzież jest skazana na służbę starości!

Starzy, mądrzy ludzie mówią o namiętnościach młodego wieku i o swem własnem, doskonałem doświadczeniu; lecz namiętność, właściwa każdemu wiekowi, jest jego rozumem. W każdym wieku uważamy się za rozumnych, a na rozum miniowego wieku patrzymy jak na namiętność. Doświadczenie czyni nas niespokojnymi, nieszczęśliwymi, gdyż uczy wyjątku z reguły. Dla poznania reguł nie trzeba doświadczenia, naucz ich książka i własne serca. Tylko niedoświadczony ma słuszność, tylko on jest szczęśliwym. Dlatego wierzcie młodości; w co ona młodość wierzy, to jest wiecznem, wasza mądrość zniknie. I przyroda w swych prawach ludzkich nie jest ani rozsądniejszą ani sprawiedliwszą od człowieka w jego wolności. Nie bolą mnie niespełnione życzenia moich biednych braci, lecz smuci mię to, że spełniają się one wtedy, gdy chęć, która je wywołała, dawno już pogrzebana.

Dziecię pragnęłoby pobiegać: musi w szkole siedzić i uczyć się łaciny. Młodzieniec zamiast użyć świeżego powietrza: oto siedzi w pokoiku przy cieniu swej kochanki i wzdycha. Dopóki pragniemy podróżować, nie mamy pieniędzy; gdy je mamy, postarzeliśmy się, lubimy spokój i wygodę, grywamy w bostona a nasza resursa bardziej nas nęci, aniżeli Rzym lub Neapol. Potem przychodzą przyjaciółki naszych siostrzenic, nadskakują i umizgają się do kochania wujaszka, bez litości depcą jego podagryczne nogi i przeszkadzają w śnie po-

dobyć siebie i swoich malutkich towarzyszów Kraszewski. „Mam zaszczyt należyć do narodu — rzekł on — który z powodu swego języka i stanowiska najmniej zyskuje na uznaniu własności literackiej. Jako polak więc nie jestem w tej sprawie wcale interesowanym. Ale jako człowiek i jako polak przyjmuję udział w tych pracach, które mają prowadzić do tego celu a dążą do pojednania i sprawiedliwości.“ Słowa te przypomniały nam dowodzenie koła polskiego w tymże Wiedniu podczas obrad sejmu nad podatkiem od dzienników. I wtedy posłowie galicyjscy mówili: jako polacy tracimy na tym podatku kilkadziesiąt tysięcy guldenów rocznie, ale jako wspaniałomyślni przyjaciele skarbu austryackiego musimy go popierać. Sława wspaniałomyślności przebrzmiała bez trwałego echa, a tymczasem prasa galicyjska jęczy pod brzemieniem stempla. Podobnie byłoby w literaturze, gdyby tylokrotnie objawione a na szczęście niespełnione życzenia „kongresu literackiego“ zyskały moc praw obowiązujących. Jeżeli prawa takie przyniosłyby tylko szkodę literaturze naszej a dogadzają jedynie interesom niemców, anglików i francuzów, po licha my tak gorliwie dla nich pracujemy? Idzie nam o „bezwzględną sprawiedliwość?“ Uspokójmy sumienie nasze przekonaniem, że owej sprawiedliwości stanie się zadość nawet bez konwencyj, ubezpieczających własność literacką, że owi niemcy i francuzi dość nam są winni z innych tytułów, ażebyśmy tą należnością pokryć mogli długi u ich literatury zaciągnięte. Bo długi to zresztą niewielkie. Jakkolwiek piśmiennictwo nasze zużywa dość tłomaczeń, skromny jego zakres nie pozwala na robienie wielkich uszczerbków literackich autorom zagranicznym. Ci zaś, którzy z zupełnem pominięciem interesów własnego kraju, pracują dla obcych, odstąpią bardzo łatwo od swych „przekonań,“ jeśli tylko stracą urzędy w stowarzyszeniu literackiem, które im rozpina niepotrzebnie pawie ogony. Niech tylko gadatliwy p. J. Lermina przestanie nadymać p. Szymanowskiego godnością przedstawicielstwa literatury polskiej, przez nas mu nienadaną, a niezawodnie redaktor *Kuryera Warszawskiego* porzuci myśl o ubezpieczeniu własności literackiej... niemców, francuzów i anglików.

Błędnie zrozumiałby myśl naszą czytelnik, gdyby nas posądził o zamiar wyjęcia tej własności z pod wszelkich praw. Bynajmniej, o to nam nie idzie. Sądzimy tylko, że: 1) własność literacka z natury swojej nie da się tak ubezpieczyć „jak każda inna;“ 2) sprawa tłomaczeń (która tu gra najważniejszą rolę) nie może obciążać jednako wszystkich narodów, których warunki istnienia i siły są bardzo odmienne; 3) idea najściślejszej sprawiedliwości zobowiązuje możniejszych do wspierania uboższych; 4) interesu oświaty całych społeczeństw nie należy podporządkowywać interesowi materyalnemu jednostek. O tem wszystkiem nasi samozwańcy poselscy zupełnie zapominają. Zapominają o tem, że jeżeli „bezwzględna sprawiedliwość“ pozwoliła niemcom zagarnąć ziemie i wydziedziczyć z środków cywilizacyjnych ludy słowiańskie, to niechże teraz pozwoli tym ludom korzystać bezpłatnie z literatury niemieckiej. Napoleon rozrzucał kości polskie po całym świecie i wysysał z nas ostatnie soki kontrybucyami, a my dziś nie możemy za to nawet tłomaczyć darmo francuskich romansów! Gdyby Kraszewski „jako człowiek“ w chwili swej mowy pamiętał o pogwałconych prawach ludzkich swych rodaków w Prusach, nie ujmowałby się tak za prawami literatów niemieckich nawet u nas. Innemi słowy: gdyby owa „bezwzględna sprawiedliwość,“ na którą mówcy kongresu tak często się powołują, uporządkowała już wszystkie stosunki i miała do uregulowania tylko literackie, pojmowalibyśmy te wspaniałomyślne ofiary na jej ołtarzu; ale dziś, gdy siła gospodaruje bezkarnie we wszystkich dziedzinach życia, chcieć szczepić idealne sentymenty w jednej, która najmniej od rabunku cierpi — doprawdy zabawne. Nie dziwi nas też wcale, że oprócz kilku imion głośnych, lista uczestników kongresu literackiego zapełnia się ciągle bardzo podrzędnej miary imionami, których znaczenia w świecie najszczegółowsza encyklopedya odgadnąć nie umie.

Nie zajmujemy się dalszymi szczegółami tej szopki, bo sądzimy, że ona zakończy swe przedstawienia, gdy dostrzeże, że światu naprzykrzyły się literackie zapusty. Jednocześnie obradujący w Wiedniu zjazd autorów niemieckich, którzy myślą tylko o własnem piśmiennictwie, daje wszechświatowym jasełkom przestrogę, czem ich reżyserowie zająć się powinni — swoją glebą. Uszczęśliwianie ludzkości niech odłożą na później, bo dziś posiadają tyle tylko na to środków, ile kosztuje bilet kolei z Warszawy do Wiednia lub Paryża.

M.

TRZECI KONGRES GEOGRAFICZNY

(w Wenecyi).

„Kongresy przynoszą tę korzyść, że rozwijają stosunki między ludźmi jednej specyalności, pozwalając im roztrząsać sprawy ogólnie interesujące, oceniać drogę przebieżoną i przyspieszać postęp. Ich użyteczność wszakże jest jeszcze inną: kongres może mówić głośno; ma on głos dosyć silny, ażeby go usłyszano wszędzie“

Temi słowy, na trzecim zjeździe geograficznym, określił znaczenie tego rodzaju zjazdów słynny Lesseps. I przyznać trzeba tej uwadze wielką trafność. Gdy nawet kongres naukowy nie jest czczą komedyą i paradą, jaką często bywa, nie rodzi on dla wiedzy nic, prócz... silnych pobudek. Mówi głośno — w tem cała jego zasługa. Uczeni, zbierający się uroczyście na obrady, nie przywożą i nie odsłaniają światu żadnych w tajemnicy trzymanych wielkich odkryć, nie odczytują znakomitych, na tę chwilę przeznaczonych prac, połączeni nie wydobywają z siebie cudów, gdyż w czasach druku, elektryczności, oraz instytucyj naukowych, posiadają dość środków szerokiego ujawnienia swych badań. A jednakże zebrani razem przynoszą wiedzy znaczną korzyść swoją — jak mówi Lesseps — głośnością. Rzeczywiście, czy ogół wiedziałby, albo raczej, czy chciałby wiedzieć o badaniu Afryki Środkowej, o de la Roncier'ze, nawet o księciu Teanie, gdyby szumne zapowiedzi nie głosiły przez rok o wielkim zjeździe w Wenecyi, gdyby nie przybyła na tę uroczystość królewska para i gdyby kościoła św. Marka nie oblewa-

---

obiednim. Dyabelskie dzieci! Czemuż nie przychodziłyście przed trzydziestu laty, gdy wujaszek był kuzynkiem, po obiedzie nie sypiał, lecz pił i podagry nie miał. Nie śmiejcie się! nie śmiejcie! I ja mam kuzynów, ci się pomszczą za mnie!

Gdy byłem chłopcem, miałem jedno życzenie, tak gorące, jak żadne potem. Widziałem u innego chłopca maluśką szabelkę, służącą do czyszczenia fajki. Z tego powodu całą noc nie spałem. Obecnie mógłbym sobie kupić cały tuzin takich szabelek, lecz ich nie pragnę; dziś mogłyby leżeć u nóg moich, a nie schyliłbym się po nie. Teraz inne mam pragnienie i prawie szaleję, gdy pomyślę, że później może wszystkie te rzeczy otrzymam, gdy mi zobojętnieją.

Robert, czyli mężczyzna jakim być powinien, naraził mię na policzek od nauczyciela, który dziś jeszcze czuję. Tego Roberta postawiłem sobie za wzór; chciałem również zostać lekarzem, bezpłatnie leczącym, lecz jeszcze bardziej cnotliwym. Z powodu *Klary du Plessis i Clairant'a* zapomniałem o tłomaczeniu w Döring i musiałem pójść na oślą ławkę, a nad *cierpieniami rodziny Hardenberg* więcej płakałem, aniżeli później nad własnemi. Ach! od tego czasu nie miałem tak wielkiej troski, którąby mój chleb łzami skropiła, jak wówczas, gdym, czytając, jadł jabłko, które mi policzek z ręki wytrącił. A teraz! czy jestem tak szczęśliwy, by mię kto policzkował, gdy czytam i kocham? Któż mi przeszkodził? Ale cicho — przyrzekam, mój dobry Lafontaine, nigdy, nigdy ciebie nie krytykować.

III [1]).

Frankfurt, 1 maja.

Czytam w gazetach, że Prudhomme, najstarszy z dziennikarzów francuskich zmarł. Znałem tego człowieka, często go nawet odwiedzałem. Mówił wiele; mniej jednak dawałem baczenia na słowa jego, a więcej na jego twarz, surową i zimną, jak kamień grobowy, w którejmożna było odczytać zatarty napis: *umarł w r. 1794*. W początkach rewolucyi redagował najbardziej rozchwytywane pisemko: *L'ami du peuple*, które w niebezpiecznej ósemce mieściło najstraszniejsze zdania. Rozsprzedawano, jak mi opowiadał, czterdzieści tysięcy egzemplarzy. Gdy Prudhomme opowiadał o tych czasach, kiedy to i wolność młodą była i on człowiekiem w sile wieku, pałało jego wytlone oko, a głos złamany nabierał wyrazu i siły. Gdy natomiast rozprawiał o późniejszych lub obecnych czasach, mówił powoli, jakby zniechęcony lub śpiący, tak iż nieznośnem było go słuchać. Nie mógł pojąć wolności monarchii konstytucyjnej, był najskromniejszym republikaninem. Absolutyzm republikański o wiele jest niebezpieczniejszym niż monarchiczny; tego bowiem można uniknąć spokojem i posłuszeństwem, pierwszego niczem, bo spokój, cnota poddanego, jest przestępstwem wolnego obywatela. Republikanizm natomiast prędzej przebacza niż monarchizm; on bowiem za szał uważa to, co monarchizm za świadome przekroczenie. Francuzi po długiej podróży przez gorące i puste wieki przybyli nad dzikie morze wolności. Spragnieni, z rozgrzaną krwią rzucili się do wody — pili, chorowali i tonęli.

[1]) Ustęp drugi, jako zbyt zmniejszony pomijamy.

ło przez kilka dni światło elektryczne? Dzięki tym dekoracyom nauki, dzięki jej fantastycznej wystawie i kulisom, świat zwrócił uwagę na grono badaczów, posłuchał i zapamiętał z ich obrad kilka wiadomości a wreszcie uczuł może pobudkę do jakiegoś współpracownictwa na korzyść poznania ziemi i ludów. Naukę szepczącą w gabinetach największe prawdy słyszą tylko specyaliści, ale naukę, która wjeżdża do miasta śród chorągwi i tłumów, która doznaje uroczystych przyjęć, pływa gondolami przy czarodziejskiej iluminacyi — słyszą, bo *widzą* wszyscy.

Jest to więc pierwsza korzyść kongresu geograficznego, który 15 września rozpoczął a niedawno zakończył swe posiedzenia w Wenecyi.

Naturalnie rezultat ten, chociaż ważny, sam przez się byłby niewystarczającym. Zgromadzenie uczonych musiało zostawić po sobie ślad naukowy — w zamierzonych przedsięwzięciach, w podniesionych lub rozstrzygniętych zagadnieniach, w wypowiedzianych życzeniach, gdyż czegoś więcej od podobnych, bądź co bądź czysto formalnych aktów, żądać trudno. Nie znając jeszcze protokółów kongresu, nie możemy nawet w głównych zarysach podać jego rozpraw, równocześnie prowadzonych przez sekcye, na które zjazd się rozłamał. Sekcyj tych było osiem: 1) geografia matematyczna, geodezya, topografia; 2) hydrografia, geografia morska; 3) geografia fizyczna, meteorologia, geologia, botanika, zoologia; 4) geografia antropologiczna; 5) geografia historyczna, historya geografii; 7) metodologia, nauczanie i rozpowszechnianie geografi; 8) poszukiwania i podróże geograficzne. Co w każdym z tych działów mówiono, będzie można wiedzieć dopiero po ogłoszeniu szczegółowych sprawozdań; to zaś, co prawiono na posiedzeniach połączonych grup, nie wyjmując przemowy Lessepsa, sławiącego zasługi włochów w geografii, słabo przekraczało granice zwykłej w takich uroczystościach etykiety. Jeden szczegół wszakże zasługuje na podniesienie. Między innemi, kongres wyraził życzenie, ażeby towarzystwa naukowe zajęły się wydaniem słowników geograficznych. Żałujemy mocno, że nikt się nie znalazł, ktoby uwiadomił kongres, że nie żadne towarzystwo naukowe, ale jeden człowiek w Polsce podjął i uskutecznia, o ile jednostkowemi siłami można szczęśliwie, olbrzymie wydawnictwo słownika geograficznego. P. Sulimierskiemu należała się ta skromna nagroda za trud, który go ozdobił trwałą zasługą. Lesseps w przemówieniu swojem położył szczególny nacisk na udział sił prywatnych w wielkich przedsiewzięciach geograficznych, przytaczając z własnego doświadczenia wymowne przykłady. „Niech nasz kongres — rzekł— zwróci się do inicyatywy prywatnej, niech jej powie, że nie dosyć przyklaskiwać powodzeniu lub opłakiwać straty badaczów, że należy ich podtrzymywać, towarzyszyć im troskliwie, dodawać im odwagi, dostarczać środków, umożliwiających tryumf.“ Nie jesteśmy powołani do tego, żeby przekopywać międzymorza lub przygotowywać podbiegunowe wyprawy; ale jedno z zadań w naszym skromnym zakresie, mianowicie wydanie słownika geograficznego własnej ziemi, spełniliśmy, dzięki inicyatywie prywatnej.

Realnym podkładem obrad kongresu była wystawa geograficzna, w której wszystkie narody popisały się swemi zdobyczami.

J.

NIEWINNE ROJENIA.

Książe Aleksander Drucki-Lubecki pod tytułem *Quelques idées sur une réorganisation administrative* (Petersburg 1881) podał dwa projekty reformy administracyjnej, niepozostające z sobą w żadnym organicznym związku i stanowiące dwie, zupełnie odrębne, całości. Jeden z nich dotyczy administracyi ogólnej, drugi — wojskowości, czyli, właściwie mówiąc, sposobu odbywania przez poddanych państwa powinności wojskowej.

Nad drugą częścią rozprawy, jakkolwiek oryginalniejszą, niż pierwsza, nie będę dłużej się zastanawiał; wymagałoby to bowiem zbyt obszernych teoretycznych wywodów. Myśl do reorganizacyi sposobu kompletowania armii podała autorowi Sadowa, a a uwagi z tego powodu napisane pomieścił, jak zapewnia, bez zmiany w swojej rozprawie. Chodzi w nich o zmniejszenie niedogodności pruskiego systematu ogólnego obowiązku służenia w wojsku z zachowaniem wymagań sprawiedliwości i potęgi militarnej państwa. Według projektu p. D., tylko część popisowych każdego roku wstępywałaby w szeregi. Lata służby obowiązkowej wynosiłyby lat 15, z podzieleniem tego czasu na trzy okresy, służby czynnej (od r. 1—3), rezerwy czynnej (od lat 7—9, czyli do 10-go roku służby) i obrony krajowej—*armée territoriale* (od roku 10-go do 15). Pozostali z popisowych byliby zupełnie zwolnieni od powinności zaciągowej, ale za to stanowiliby źródło dochodów na rzecz wojskowych, w ten mianowicie sposób, że część wykupywałaby się od wojska, a inni służyliby przez lat 15, t. j. przez czas całkowitej służby wojskowej, płacąc po rublu od osoby. Z obu tych źródeł tworzyłby się kapitał, umieszczony wyłącznie na hypotekach miejskich a procent szedłby na pensye dla rannych lub wysłużonych żołnierzy, na nagrody przywiązane do medali i orderów wojskowych i t. p.

Projekt administracyi ogólnej poprzedza p. Lubecki kilkoma ogólnikowemi uwagami o szkodliwych i błędnych ideach z 1789 roku, które wywołały w Europie parlamentaryzm, instytucyę nigdzie nie odpowiadającą swemu założeniu, niedającą rękojmi stałości i jedności politycznej, a obok tego niebędącą tem, czem się mieni, t. j. wyrazem woli ogółu. Uważa tedy autor za szczęśliwe te państwa, gdzie nie wkradła się ta choroba wieku, zamiast której chciałby widzieć proponowany przez siebie ustrój państwa. Według tego projektu, hierarchia administracyjna ma pięć instancyj: wieś, gminę, powiat, gubernię i prowincyę; wszystkie te organy administracyi mają być wybieralne. A należą tu:

1) *Wieś.* Naczelnikiem jej jest *starosta* i jego pomocnik, wybierani przez mieszkańców, mających prawo głosu; władzę sądową sprawuje dwu „sędziów sumienia“ (*juges de conscience* — sowiestnyje), którzy mają prawo skazywać do 3 rubli kary pieniężnej.

2) *Gmina.* Na jej czele stoi *starszyna* i jego pomocnik, wybierani przez starostów wsi do gminy wchodzących z pomiędzy nich samych; czterech sędziów sumienia sądzić ma sprawy mieszkańców gminy z prawem wymierzania kary do 10 rubli. Policyę we wsiach i gminach wykonywają stróże polni, wiejscy i gminni. Prócz tego w każdej gminie ma być instytucya nadzorcza, na którą szczególny kładzie nacisk p. Lubecki. Sprawuje ją „sędzia pośrednik“ (*mirowyj posrednik*) wybierany przez starszyn i starostów gminy z pomiędzy większych właścicieli ziemskich lub ich przedstawicieli. Ma to być ojciec, anioł opiekuńczy gminy; polubownie sądzi zwaśnionych bez apelacyi, ściga przestępców, karze ich krótkim aresztem lub oddaje sądom dla wymierzenia cięższej kary, kontroluje czynności administracyi. Z wprowadzeniem tego urzędu, (który i dzisiaj istnieje w guberniach zachodnich, ale spraś wują go osoby z ramienia władzy) nasta-

---

W następujący sposób zrobiłem znajomość z Prudhommem. W jesieni 1819 r. przyszedł do mnie jakiś jegomość, wyglądający lekko i powiewnie. Wyraziwszy niezmierną radość z poznania takiego jak ja *publiciste distingué* i *spirituel*, uwiadomił mnie, że ktoś życzy sobie założyć dziennik, którego ja mam być redaktorem, pytając, czy się na to zgadzam. Człowiek ów wydawał mi się słabo wykształconym, wiara jego polityczna nie szczerą; nie był ubogo, lecz wyszarzano ubrany, co nie jest w Paryżu bez znaczenia. Zdawało mi się, że pod obszernym płaszczem liberalizmu widzę końską stopę policyi. Lecz to właśnie pobudziło mię do wdania się z nim w dalszą rozmowę. Odpowiedziałem tedy, że coś podobnego przyjąłbym z rozkoszą. Wtedy przyrzekł zaprowadzić mię do pewnego sławnego publicysty, z którym bliżej o tej sprawie pomówię. Zaprowadził mnie do Prudhomme'a. Ten przewiercił na pięćdziesiąt, sto stóp moją pierś, jakby chciał wykopać studnię artezyjską; jakoż usposobienie moje trysnęło wysoko... Zapytał mnie, w jakim duchu redagowałbym dziennik? W liberalnym — odpowiedziałem. Potrząsł na to głową, i żądał dokładniejszego objaśnienia. Musimy się — rzekł — porozumieć ściślej i oznaczyć zasady wyraźnie; *wyraźnie* — było to jego ulubione słowo. Lecz ja, poczciwy niemiec, nie byłem przyjacielem tej wyrazistości i porzuciłem w duchu przedsięwzięcie, o którem może poważnie nie myślano. Człowiek ten miał rzeczywiście słuszność, wtedy jednak nie pojmowałem rzeczy. Prawość niemiecka jest wysoka, stara i niewzruszona jak piramida, lecz leży w pustyni i jest przybytkiem śmierci. Niemiec sądzi, że nawet w starciu mniemań politycznych należy walczyć za prawdę i to mówić, co uważamy za słuszne i sprawiedliwe. Zapomina, że jest to wojna jak każda inna i że niedość walczyć za dobrą sprawę, trzeba jeszcze pamiętać o towarzyszach. Trzeba wyszukać ich, zgromadzić, uzbroić, zachęcić i nagrodzić. My nie trzymamy się żadnego stronnictwa. Francuz chwali i popiera każdego, kto stoi po jego stronie, gani i szkodzi natomiast każdemu, kto przeciw niemu. Tym sposobem nietylko powiększą i wzmacnia swe stronnictwo, lecz zmusza tajnych nieprzyjaciół do otwartej nieprzyjaźni i do utworzenia partyi. I dlatego francuzi osiągają wszystko, my niemcy nic. Gazeta jest dla nas tylko krytycznym, umiejętności politycznej poświęconym dziennikiem. Czyn dyplomatyczny, wypadek polityczny rozbieramy jak książkę, raz na zawsze, po czem milczymy. Mówienie o tej samej sprawie codzień wydaje nam się tak nudnem i niesmacznem, jak rozbieranie codzień tej samej książki i w niedorzecznem naszem zaślepieniu śmiejemy się ze „stereotypowej polemiki“ dzienników francuskich. Zapominamy całkiem, że dziennik polityczny jest to pewnego rodzaju rząd, który jeśli nie chce być obalonym, nie powinien nigdy stać na miejscu. Takie to błędne przekonanie i ja jeszcze miałem, gdym rozmawiał z Prudhommem. Odpowiedziałem tedy, iż godne pochwały — chwalić, naganny — ganić będę i byłem dumny z mojej germańskiej cnoty. Żądano odemnie, ażebym przyjaciół naszych chwalił, nieprzyjaciół ganił cokolwiek robić będą, i słusznie.

Byłem wtedy młodym niemcem. Urodziwszy się podczas wojny o niepodległość z tysiącem innych o jednej godzinie, miałem tysiącznik — dopiero lat pięć. Dziś jestem jednym z niewielu owych ty-

nie raj ziemski: dzieci nie będą wyganiały starych rodziców, kościoły nie pomieszczą nabożnych a karczmy świecić będą pustkami, władze nie będą przedajne, zapobiegnie się rozdrabnianiu własności włościańskiej, pożarom, kradzieżom koni, lichwie żydowskiej i t. p.

3) *Powiat.* Zarząd powiatowy stanowią „radcy okręgowi" czyli członkowie zarządu powiatowego, wybierani w każdym okręgu przez większych właścicieli lub ich reprezentantów z pomiędzy siebie. Radni wybierają z pomiędzy siebie „marszałka," który im przewodniczy, oraz jego zastępcę. Obok tego ciż wybierają w każdym okręgu „sędziego pokoju," który sądzi sprawy w apelacyi od sędziów sumienia, a w pierwszej instancyi spory właściciel większych między sobą lub z ludnością wiejską. Sędziowie pokoju całego powiatu tworzą *zjazd* sądowy pod prezydencyą jednego z pomiędzy nich. Na posiedzeniach zjazdu sądowego i rady powiatowej zasiadają sędziowie pośrednicy z głosem doradczym.

4) *Gubernia.* Zarząd w niej stanowią marszałkowie powiatowi, jako członkowie i wybrany przez nich z tegoż grona „marszałek gubernialny," jako prezydujący.

5) *Prowincya,* w której rządzi jenerał gubernator i zostające pod jego prezydencyą kolegium złożone z marszałków gubernialnych.

Taki jest projekt reformy administracyjnej ks. Aleksandra Druckiego Lubeckiego. Z całej rozprawki wieje jeden duch, mianowicie: do zarządzania krajem Bóg stworzył jeden tylko gatunek człowieka, t. j. pana obszernych włości, a pan ten tak z natury swej obdarzony jest administracyjnemi zdolnościami, że bez wiedzy szerszej, bez badań wszechstronnych może po obiedzie, przy czarnej kawie dyktować sekretarzowi plany reformy. Wprawdzie książe Lubecki nie podaje za nowość zasady obieralności, którą przeprowadza w administracyi; owszem projekt swój wyprowadza z Najwyższego Ukazu (r. 1861) o instytucyach ziemskich. Z taką jednak powagą i przejęciem wystawia dobre strony samorządu, jakby tego nie można było znaleść w pierwszym lepszym podręczniku. Ciasnota poglądu, przechodząca tu i owdzie w naiwność, uderza na każdym punkcie, i dobiega swego szczytu w ocenie parlamentaryzmu, w czem autor nie umiał się zdobyć na głębsze zarzuty, ani na zdanie sobie sprawy z przyczyn i okoliczności dziejowych, które do tej a nie innej formy doprowadziły. Widząc w nich dzieło wybryku raczej pewnej warstwy, niż wynik warunków historycznego życia, staje się ks. Lubecki największym rewolucyonistą, z zasady uznając możność wiekowego istnienia i rozpowszechnienia instytucyi dowolnie ludzkości narzuconej. Jednostronność poglądu doprowadzona jest w projekcie do tego stopnia, że nie znalazły w nim miejsca miasta, ani zamieszkała w nich ludność inteligentna. Chłop rządzi się sam we wsi pod okiem pana, a pan rządzi wszystkimi; mieszczanina niema i królestwo boże urzeczywistnia się na świecie. Oto ideał administracyjny księcia Aleksandra Druckiego Lubeckiego. Jak widzimy, rojenia dosyć niewinne.

K. D.

SIEDEM ZAGADEK ŚWIATA.

Przed kilku miesiącami, w rocznicę urodzin Leibnitza, znakomity przyrodnik niemiecki du Bois-Reymond czytał w berlińskiej Akademii Umiejętności świeżo drukiem[1]) ogłoszoną rozprawę, w której na podstawie pomysłów wielkiego filozofa sformułował i objaśnił „siedem zagadek świata," niby siedem zamków, do których wiedza nasza nie wynalazła jeszcze kluczów.

I jakież to są zagadki?

Pierwszą trudność poznania stanowi — według du Bois-Reymonda — istota materyi i siły.

Drugą przedstawia początek ruchu. Widzimy, jak ruch powstaje i znika; możemy wyobrazić sobie materyę w spoczynku; ruch wydaje nam się w materyi czemś przypadkowem. Nasza potrzeba przyczynowości wtedy tylko czuje się zadowoloną, gdy pomyślimy sobie w czasie nieskończenie odległym materyę spoczywającą i również w nieskończonej przestrzeni rozmieszczoną. Ponieważ pobudzenie (*Anstoss*) nadnaturalne nie pasuje do naszego świata pojęć, pierwszy zatem ruch nie posiada dostatecznej przyczyny. Albo też przedstawiamy sobie materyę od wieków poruszaną, a wtedy zrzekamy się wszelkiego zrozumienia tego punktu. I ta trudność, jak poprzednia, jest transcedentalną.

Trzecią tworzy powstanie życia. Tej niepodobna uważać za transcedentalną. Jeśli materya zaczęła kiedykolwiek się ruszać, światy mogły powstawać. Śród warunków odpowiednich, których my dziś równie nie zdołamy naśladować, jak i tych, w których odbywa się mnóstwo zjawisk nieorganicznych, mógł wytworzyć się także szczególny stan równowagi dynamicznej, nazwanej życiem. Jeżeli przypuścimy jakiś akt nadprzyrodzony, wystarczyłby jeden taki akt do stworzenia materyi; w każdym razie my potrzebowalibyśmy tylko jednego dnia stworzenia.

Czwartą trudność nastręcza pozornie celowe urządzenie natury. Prawa kształtowania się organicznego nie mogłyby działać celowo, gdyby materya od początku nie została stworzona z celem; z mechanicznem więc pojmowaniem natury pogodzić się one nie dadzą. Ale i ta trudność nie jest bezwarunkowo transcedentalną. Darwin w naturalnym doborze umożliwił ominięcie jej i objaśnienie wewnętrznej celowości stworzenia organicznego oraz jego przystosowania się do warunków organicznych za pomocą łańcucha okoliczności, działającego z koniecznością natury na wzór mechanizmu. Owa teorya naturalnego doboru jest deską, ratującą nas tonących w niewiadomości.

Piątą trudność stanowi powstawanie prostych wrażeń zmysłowych. W *Nouveaux Essais* wkłada Leibnitz w usta obrońcy sensualizmu, Filoletesa, te prawie od Locke'a pożyczone słowa: „Jest to dość jasnem, że cząstka materyalna nie może nic z siebie wydobyć i sama udzielić sobie ruchu. Ruch jej więc albo musi istnieć od wieków, albo musiała go w nią wlać jakaś istota potężniejsza. Ale nawet gdyby istniał od wieków, nie mógłby wytworzyć świadomości. Podzielcie materyę na dowolnie drobne cząstki, nadajcie, jakie chcecie, kształty: zróbcie z niej kulę, sześcian, pryzmat, cylinder i t. d. figurę, której rozmiary wynoszą zaledwie tysiącomilionową część stopy filozoficznej. Cząstka ta, mimo swej małości, nie będzie inaczej działała na inne tegoż szeregu, jak ciała, posiadające cal lub stopę średnicy. Z równą zaś słusznością spodziewać się można, że połączenie wielkich części materyi pewnego kształtu i ruchu zrodzi uczucia, myśli, świadomość jak i cząstki najdrobniejsze w świecie. Uderzają one na siebie wzajemnie, posuwają się i opierają, podobnie jak duże; nic więcej uczynić nie zdołają. Gdyby zaś materya mogła bezpośrednio, bez maszyny, lub bez pomocy figur i ruchów wytwarzać sama z siebie czucie, spostrzeganie i świadomość, to musiałyby one być nieodłączną własnością jej i wszystkich jej części." Na to odpowiada Teofil, przedstawiciel idealizmu Leibnitza: „Wywód ten uważam za

[1]) Naprzód w *Monatsberichten der Akademie,* a potem w *Deutsche Rundschau,* wrzesień.

---

siączników, którzy pozostali, i którzy owe czasy przypominają. Smutnie to.

Chociaż wkrótce porzuciłem i zamiar redakcyi i Prudhomme'a—nie opuścił mię przecież pośrednik dziennikarski i strręczyciel polityczny. Odwiedzał mię i nadal, kilka razy zaprosił do restauracyi, gdzie za mnie płacił. Nie miałem nic przeciwko temu. Pewnego razu poznałem przy stole niemca, z którym między innemi, zacząłem mówić o polityce. Skoro odszedł, towarzysz zarzucał mi delikatnie nieostrożność, iż w publicznych miejscach, gdzie nigdy nie zbywa na szpiegach, rozmawiam o rządzie, że nic nie znaczy niemczyzna, gdyż są szpiegi, rozumiejący ten język. Co?. szpiegi między niemcami? Niemcy między szpiegami! to potworne oszczerstwo! Omal, że nie rozbiłem flaszki o głowę francuza. Dobrze jednak się stało, że tak nie postąpiłem i że ten krótki monolog patryotyczny, w duchu tylko sobie wypowiedziałem. Gdy bowiem w parę lat później znowu przybyłem do Paryża, poznałem wielu szpiegów niemieckich. Jeden z nich, który mię często odwiedzał, — pewnego razu przyszedł jak zwykle, siadł przed kominkiem i grzał się wygodnie. Nie miał drzewa w domu i nie potrzebował go, bo w Palais-Royal pod nr. 13, gdzie był czynnym, dniem i nocą mógł się swobodnie ogrzewać. Skoro się ogrzał dosyć, zrobił poważną minę i oświadczył, że chciałby ze mną pomówić. Przerwałem mu natychmiast i zapytałem, czy nie mógłby mi na czas krótki pożyczyć czterystu franków? Chciałem go uprzedzić, gdyż spodziewałem się, że zamierza prosić o pożyczkę; prośba, którą często znosić musiałem w Paryżu, nigdy mię nie wzruszała. Odpowiedział, że słowa *mieć pieniądze* nie używa nigdy w trybie oznajmującym czasu teraźniejszego, lecz w przeszłym i przyszłym; i że chce mi natomiast uczynić pewną propozycyą. Oto armia francuska zajęta jest teraz w Hiszpanii; zdarza się więc dogodna pora do działania. Żyje w Paryżu 30,000 niemców, przeważnie dzielnych rzemieślników — powiększył liczbę, zwyczajem spiskowców, by mię zwabić i dodać odwagi; my — on i ja — możemy na czele rzemieślników rzucić się na Niemcy i wszystko zniszczyć — a najpierw Prusy. Skoro poznałem, że nie ma zamiaru żądać odemnie pieniędzy, tylko pomocy do zdobycia Prus, rozpogodziłem zasępione czoło i rzeklem uprzejmie, że propozycya jest świetna, i że się na nią zgadzam; nie wątpię, że się powiedzie, gdyż nasi rzemieślnicy są przyzwyczajeni do fechtunku; tylko mam teraz na nieszczęście silny katar, lecz przybędę za nim z pewnością z tylnym korpusem.

Był-że ten głupi łotr w służbie policyi francuskiej? Wątpię, gdyż ta ostatnia nie jest tak ograniczoną. Prawdopodobnie, był to szpieg niemieckiego mocarstwa, które wtedy w Paryżu wyszukiwało demagogów, albo uchodzących za takich — i niejeden talar wyrzucało na podobne niedorzeczności.

(Dalszy ciąg nastąpi).

możliwie uzasadniony i nietylko trafny, ale nadto głęboki i godny swego autora.“ Obaj filozofowie doszli do tego samego wniosku, do którego my dziś dochodzimy. Wywód ich nadwyrężyły nauki przyrodnicze. Z obecnego bowiem stanowiska wiedzy zarzucić można, że przy coraz delikatniejszym podziale materyi natrafiamy na punkt, w którym ona rzeczywiście rozwija nowe własności. Nie jest to wcale rzeczą obojętną, czy położymy obok siebie grube kawały węgla i siarki, czy też zmięszamy je w proszkach. Jeżeli materya, zależnie od stopnia rozdrobnienia, objawia coraz nowe działania, dlaczegożby przy jeszcze delikatniejszem rozdrobnieniu nie miała myśleć? Nie kusząc jednak do zwodnych przypuszczeń, wyznajmy lepiej, że dotąd żadne uporządkowanie i ruch atomów nie zdołały nam objaśnić świadomości. Jeszcze druga uwaga. Z niemożności wytłomaczenia świadomości mechanicznie wnioskuje Leibnitz, że jej nie rodzą objawy materyalne. Podzielając z nim przyznanie się do trudności pojęcia, usuwamy się od przypuszczenia i gromadzimy dowody, wykazujące łączność świadomości z zjawiskami materyalnemi.

Szóstą, daleko od poprzednich mniejszą trudność widzi du Bois-Reymond w objaśnieniu rozumnego myślenia i związanego z nim języka. Trudność ta wydaje mu się mniejszą dlatego, że pomimo wielkiej przepaści między najwyższem zwierzęciem i najniższym człowiekiem oraz niemożności rozwiązania objętych tą skalą zagadnień, gdybyśmy znali początek świadomości, łatwiej podołalibyśmy tajemnicom jej rozwoju.

Siódmą wreszcie, ostatnią trudność poznania stanowi wolność woli. Starożytność klasyczna nie zbyt łamała sobie głowę nad tą sprawą. Niemając pojęcia o niezłomnych prawach natury, ani o bezwzględnym rządzie świata, nie dostrzegała starcia między wolnością woli a panującą zasadą istnienia. Dogmatyzm chrześciański uplątał się w tej zagadce bez wyjścia. Ojcowie kościoła i całe ich duchowe potomstwo wahało się między swobodą woli a boskiem przeznaczeniem. Determinizm odział się w sukienkę religijną. Inaczej kwestya ta dziś się przedstawia. Teorya zachowania energii uczy, że siła, zarówno jak materya, ani powstaje, ani ginie. Stan całego świata oraz mózgu ludzkiego jest w każdej chwili mechanicznym skutkiem stanu poprzedniej i bezwarunkową przyczyną mechaniczną stanu następnej. Niepodobna wyobrazić sobie, ażeby w jakiejś danej chwili z dwu rzeczy stać się mogła jedna lub druga. Molekuły mózgowe padają zawsze tylko w pewien oznaczony sposób. Gdyby jakaś molekuła bez dostatecznej przyczyny zboczyła od swego położenia lub kierunku, byłoby to takimże cudem, jak gdyby Jowisz wyskoczył z swej elipsy i wprawił w zamięszanie cały systemat planetarny. Jeżeli więc, jak sądzi monizm, nasze wyobrażenia i dążenia, a więc i objawy naszej woli, są wprawdzie niepojętemi, ale koniecznemi zjawiskami, towarzyszącemi ruchom i układom molekuł mózgowych, to znaczy, że niema wolnej woli. Dla monizmu cały świat jest mechanizmem, a w mechanizmie niema miejsca dla woli swobodnej.

Takie są—według du Bois-Reymonda—zagadki świata, zasadnicze jego tajemnice, nad których odsłonięciem pracuje nasza wiedza. Jest to prawdziwy trud Syzyfa. Szczęściem, że w nim posiadamy także syzyfową wytrwałość.

Ł.

TEORYA WYCHOWANIA,

oparta na historyi, psychologii, moralności, polityce

podług GABRIELA COMPAYRÉ.

II.

Historyczny postęp pedagogiki ustalił pewną liczbę praw ogólnych, których już nikomu lekceważyć nie wolno. W czasach dawniejszych niekażdy mógł korzystać z dobrodziejstw nauki. Charakter czasów nowożytnych polega na zniesieniu przywilejów, co i tutaj ma miejsce; nauka stała się dobrem powszechnem. Ta powszechność wywołała wielką rozmaitość metod. Dzisiaj pojmujemy już, że jeśli w wychowaniu są jakieś żywioły zasadnicze, ogólno-ludzkie, wspólne dla wszystkich, to z drugiej strony istnieje znaczna liczba wychowań specyalnych, zastosowanych do osiągnięcia rozmaitych celów. Jeszcze inne dążności przebijają się nader wyraziście w pracach pedagogiki nowoczesnej, zaznaczając sprzeczność pomiędzy wychowaniem czasów minionych a teraźniejszem. Przedewszystkiem obecnie staramy się sprawić zadowolnienie naszemu wychowańcowi, a zdobywanie prawdy czynimy mu przyjemnem i łatwem. Podnoszą się głosy, wołające o zmniejszenie liczby godzin szkolnych. Zostawiamy dziecku dosyć wolnego czasu na czytanie poza-szkolne, na przechadzkę oraz ćwiczenia fizyczne. Nie skazujemy już uczniów naszych, ażeby byli niewolnikami książki, ale uprawiamy w nich obserwacyą i samodzielne myślenie. Nauczając, pokazujemy dzieciom rzeczy istotne, nie zaś znaki i symbole rzeczy lub ich abstrakcye. Staramy się obznajmić naszego wychowańca z faktami raczej, aniżeli z uogólnieniami faktów. I dopiero sam już uczeń nowożytnej szkoły, wychodząc z faktów szczegółowych, które zaobserwował, wyprowadza sobie prawo, wśród tych faktów panujące. W wychowaniu wogóle a przy nauczaniu wszczególe pedagog dzisiejszy stara się podsłuchać głos natury człowieczej. Nie jest to już żadną zagadką, iż pewne tylko nauki odpowiadają pewnym okresom wieku, podobnie jak niewszystkie pokarmy właściwymi są dla żołądka dziecięcia.

Usiłujemy tedy odgadnąć gust naszego wychowańca, bo wiemy już dokładnie, iż przyjemność, jaką dziecku sprawia pewna nauka, jest nieomylnym znakiem psychologicznym, każącym nam wierzyć, że naukę tę umysł będzie już w stanie sobie przyswoić. Zdajemy sobie niemniej troskliwie sprawę z wstrętów ucznia, bo i w tym względzie posiadamy pewność, że nauczanie podobny skutek wywołujące musiało być podane dziecięcej inteligencyi w złej formie, albo że ta inteligencya nie było właśnie odpowiednio przygotowaną. Słusznie powiedział H. Spencer: „ascetyzm zniknął z wychowania, podobnie jak zniknął z życia.“ A jakże my też nie dowierzamy dzisiaj owej powierzchownej nauce, polegającej jedynie na zatrzymaniu wyrazów w pamięci! Pragniemy, staramy się z całej duszy, i przeniknięci ważnością obowiązku dokładamy najwyższych usiłowań, aby nauczanie nasze sięgnęło głęboko w istotę dziecka. Chodzi nam bowiem o to, ażeby nauka nie była ozdobą zewnętrzną, ale żeby się odbiła we wnętrzu ludzkiem.

Jedną z cech najbardziej interesujących w pedagogice nowej jest wymaganie — w miarę postępu — szerokiej wiedzy pedagoga, bardzo obszernej erudycyi. Przypisać to chyba należy wielkiemu rozwojowi umiejętności i zarazem ścisłemu pomiędzy niemi związkowi. Co się tyczy atoli programów szkolnych, niemożna w nich częstokroć pochwalać skłonności do przeciążania mózgów dziecięcych. Są ludzie, zdający się mniemać, że wychowanie człowieka naszej epoki polega na tem, aby wiedział wszystko, co kiedykolwiek było pomyślane; aby z umysłu swego zrobił magazyn prawd naukowych, niepomijając bynajmniej literackich piękności. Wyobraźnia twórców czarodziejskich powieści przedstawia nam niejednokrotnie, iż przy kolebce pewnych ludzi schodziły się rozmaite boginie i każda z nich obdarzała nowonarodzonego jakimś szczególnym przymiotem. Dzisiaj już nie czarodziejskie boginie i nimfy otaczają dziecię, ale uczeni, częstokroć mędrcy na różnych polach myśli; a każdy z nich pragnie, aby dziecko nauczyło się od niego tej wiedzy, którą on przez całe może życie uprawiał. Otóż — według zdania tych ludzi — inteligencya człowieka powinna być sumą i streszczeniem wiedzy powszechnej. Co do nas, ośmielamy się widzieć w tym punkcie znaczne niebezpieczeństwo. Bo czyż wzywając dziecię do nadmiernych wysiłków umysłu, nie narażamy jego na zmęczenie? Wychowanie Milla daje nam obraz podobnego wychowania, pozbawionego miary i proporcyi; przypomina opisane przez Rabelais'go wychowanie Gargantuy. Gorzej zorganizowana głowa upadnie pod takim nawałem pracy. Dzięki tylko przedwczesnej dojrzałości, wielki umysł J. Stuarta Milla zdołał wybrnąć z niepedagogicznego chaosu. Ostrożniejsi pedagogowie zrzec się muszą tego rodzaju postępowania. I wcale nas też nie zachwyca przykład cytowany przez Dupanloup'a, jakoby „pewien uczeń powtórzył na pamięć całego Telemaka,“ inny zaś mądry malec „zrobił rozbiór gramatyczny, obejmujący przeszło sześćdziesiąt tysięcy wyrazów greckich i francuskich.“ My się tu trzymamy starej, lecz zdrowej zasady: *non multa sed multum.*

Zaznaczone wyżej dążności świadczą niewątpliwie o nieustannym postępie pedagogiki. Niektóre z nich wszakże przedstawiają również niebezpieczeństwo, a możnaby powiedzieć, że i najlepsze między niemi wymagają wykończenia, ścisłości i ułożenia w porządny systemat.

Ażeby załatwić tę kwestyę w sposób pożądany, aby zrobić dobry wybór wśród metod złych i prawdziwych, aby utworzyć podstawy pedagogiki racyonalnej, na to mamy jeden tylko sposób: porzućmy pole historyi a zwróćmy się po radę do psychologii. Wychowanie a raczej nauka wychowania jest to mistrzyni ludzi, ale taż sama nauka musi być uczennicą psychologii.

Pedagogika oraz psychologia są nierozdzielnie złączone. Postęp obu tych gałęzi jest skojarzony. Im lepiej poznamy człowieka, a ściślej mówiąc, dziecko, tem bardziej będziemy uzdolnionymi wychowawcami. To też powinniśmy się szczerze cieszyć z usiłowań ostatnich kilku lat, mających za cel badania w dziedzinie psychologii dziecka. Rzecz prosta, iż pozostają zawsze jakieśliczne punkty ciemne, a obecne filozoficzne sprzeczności dalekie są jeszcze od rozwiązania. Niemniej przecież poznanie natury ludzkiej posunęło się już na tyle, że upoważnia do wielkiej liczby sprawiedliwych wywodów. Wszelkie prawo natury człowieka może posłużyć za regułę jego wychowania. Postaramy się tu wyliczyć niektóre dane psychologii, które pedagogika obraca na swą korzyść.

A. Dygasiński.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Szkice historyczne z życia żydów w Warszawie od pierwszych śladów pobytu ich w tem mieście do chwili obecnej skreślił *Hilary Nussbaum.* Warszawa, 1881 r. 8-a str. IV, 269.

Pierwszy rozdział książki p. Nussbauma, traktujący o osiedleniu się żydów

w Warszawie, i drugi, którego treścią dzieje żydowstwa do r. 1822 t. j. do zniesienia kahału i zastąpienia go przez Dozór Bóżniczy, — słabe są bardzo. Na podstawie ogłoszonych już robót można było sprawy żydów zośmnastego stulecia przedstawić gruntowniej; na podstawie zaś źródeł godziło się wiek dziewiętnasty opracować szerzej i głębiej. Zamało wie autor o mozołach sejmu wielkiego; niesłusznie Kołłątajowi uczynił zarzut, że „jako ksiądz nie mógł się podnieść w swoim poglądzie do stanowiska Butrymowicza, który z prawdziwem humanitarnem uczuciem dążył do zlania obcego żywiołu żydowskiego w jedną moralną i społeczną z narodem całość" (str. 23). W poglądach Kołłątaja wogóle, a w szczególności w kwestyi żydowskiej *księżowstwa* dopatrzeć trudno. Jeżeli autor o zniesieniu *cheremu* w r. 1797 i kahałów w r. 1822 pisze z uznaniem, to i Kołłątaja powinien wielbić, on bowiem pierwszy podobno zabraniał pod karą 500 grzywien użycia klątwy i znosił instytucyę kahalną (*Prawo polit. narodu pol.* Warszawa 1790 r. str. 182—189). Działając w duchu wyznawanego przez się *prawa natury*, zasadę równości w obliczu prawa zastosować pragnął do wszystkich: niwelował żydowstwo z resztą ludności i autonomiczne stanowisko jego usiłował podkopać. Stoi Kołłątaj pod tym względem odosobniony od reszty współczesnych, którzy na *cherem* napadać, a kahałów znosić nie śmieli. O żydach warszawskich pod rządem pruskim mało powiedzieć umiał p. Nussbaum. Godziło się przeczytać i zbadać *General Juden Reglement für Süd- und Neu- Ostpreussen (de dato Berlin den 17 April 1797), Publicandum* z 2 grudnia 1799 r. zabraniające żydom włóczyć się po wsiach i t. p. Za Królestwa Kongresowego agitowała się sprawa żydowska podczas sejmów w r. 1818 i 1820, dużo wywołała rozpraw i świstków. Należało rozebrać broszurę generała Wincentego Krasińskiego: *Aperçu sur les Juifs de Pologne*, odpowiedź na nią: *Sposób na żydów czyli środki niezawodne zrobienia z nich ludzi uczciwych*; ramotę J. G. *O żydach*, ogłoszoną współcześnie (w r. 1818) *Uwagi pewnego oficera nad uznaną potrzebą urządzenia żydów w naszym kraju i nad niektóremi pisemkami w tym przedmiocie teraz z druku wyszłemi*, rozprawkę Rabbi Mosesa Ben-Abrahama: *Głos ludu izraelskiego do prawdziwych chrześcian polskich* i t. p. i t. p.

Szczęśliwiej rozprawia p. Nussbaum o sprawach, na które sam patrzał lub w których osobisty brał udział. Ciekawe np. o szkole rabinów, o wyrabianiu się postępowców i ich walce z sektami podaje szczegóły. W r. 1854 nie pozwolił Dozór Bóżniczy na grobowcu b. dyrektora szkoły rabinów, Antoniego Eisenbauma, wyryć napisu w języku polskim; jednocześnie wszczął się spór o to, czy wozić karawanu na kożle, plecami ku zwłokom ma siedzieć, czy też iść powinien przy koniach. Zajmujące są szczegóły, dotyczące wyparcia z synagogi niemczyzny; ciekawą jest historya chasydów, charakterystyka głośniejszych cadyków, walka chasydów z missnagdami czyli talmudzistami i t. p.

Wogóle dzieło p. Nussbauma, jako *pamiętnik* człowieka, który współwyznawców swoich zna dobrze i osobisty w ich sprawach brał udział, zalet posiada dużo. Nie jest naukowem i wyczerpującem przedmiot gruntownie, lecz materyału dostarcza dosyć. Czyta się ono z upodobaniem tem większem, że autor, postępowy rzetelnie, zasymilowania żydów z resztą ludności zwolennikiem jest szczerym.

Wł. Smoleński.

Malarstwo i rzeźba.

Jednostajność pomysłów Siemiradzkiego. — *Na Caprei za Tyberyusza.* — *Miłosna przygoda Olbrachta* Matejki. — Potomstwo mistrza: *Żółkiewski pod Cecorą* Piwnickiego. — *Ulana* Konopackiego. — *Blaumontag* Koniuszki. — *Wizyta kwestarza mnicha* Löflera. — *Dwie wdowy* Pochwilskiego. — *Kowal* Lentza. — *Nowy targ* i *P. Lipski na wojnie Chocimskiej* J. Kossaka. — *Sielanka grecka* Picarda. — Rzeźba Ryglera. —

Nie bez pewnej słuszności zarzucano ostatnimi czasy Siemiradzkiemu szablonowość i zamknięcie się dobrowolne w zakresie pewnej kategoryi tematów... Zawsze to samo słońce, przeświecające przez oponę liści, te same spokojne cieniste zacisza, cysterny pełne wody i otoczone kwiatami, wilgotne mchy na kamieniach, para kochanków w miłosnej pogrążona rozmowie, albo grono biesiadników, używających poobiedniego wczasu. Chociaż dzieje sztuki przedstawiają nam niejeden przykład takiego ciągłego powtarzania się tychże samych pomysłów lub przedmiotów, które artysta odczuwa najlepiej, jednakże u nas publiczność a nawet krytyka podejrzywać zaczęła talent Siemiradzkiego o pewne wyczerpanie, w którem twórczość przeżuwa własne swoje płody. Zarzuty te twórca *Jawnogrzesznicy* odparł najnowszym wielkim obrazem: *Na Caprei za Tyberyusza*, znajdującym się obecnie na wystawie p. Krywulta, a stanowiącym dosadny kontrast ze wszystkiemi niemal płótnami znakomitego artysty z ostatnich czasów. Pod względem podniosłości nastroju obraz ten niewątpliwie przewyższa wielkie jego twory, oparte na głębszej treści a uderza świetnem traktowaniem widowni, na której odbywa się główna scena. Na skalistą stronę Caprei schronił się okrutny i podejrzliwy Cezar, aby w tem ustroniu trawić swobodnie życie wśród rozpusty i szału, bez obawy wrogów i spisków, grożących w wiecznem mieście jego wyobraźni. Na prawo kamienny brzeg opłukują fale morskie a po za niem widać na cyplu wchodzącym w morze pałac, z którego wieży połyska płomień strażniczy. Na lewo i w śródku zamykają widok wielkie skalne głazy, przy których, jak gadziny, splatają się powyginane drzew karłowatych gałęzie. Pierwsze przebłyski świtu bladawo szarzeją w głębi na horyzoncie, noc zaczyna ściągać z nieba swą ciemną oponę a blady ranek rozpościera mgłę chłodną i wilgotną, która wiesza się na skał krawędziach. Natura przed zupełnym rozbłyskiem poważna i surowa spoczywa w chłodnym mroku, skalne głazy sterczą wyniośle i ponuro, jakby ścięte zimną pogardą dla zbrodni i bezeceństw człowieczych... U stóp tych skał, na ziemi leżą dwa skrwawione, zgruchotane trupy. Z szczytu skały zepchnęło tych nieszczęśliwych okrucieństwo Cezara, który wczoraj jeszcze może z nimi biesiadował i darzył swoją łaską kapryśną a później jednem skinieniem skazał ich na śmierć okropną... Tymczasem w głębi zpomiędzy skał wysunął się w szalonym pochodzie orszak pijacki, który po nocy spędzonej śród orgii wyruszył na włóczęgę po brzegach wyspy, jakby się chciał skąpać w chłodnym powiewie poranku. Wesołe, na pół obnażone tancerki i strojne, lubieżne hetery splatają się w ochoczym kole z gronem ulubieńców Cezara, ustrojonych w kwiaty, rozszalałych i trawionych rozpustą. Tuż na przedzie, ruchem pełnym kuszącego wdzięku wyskakuje nad samym brzegiem hoża tancerka, uderzając w bębenek; inna znowu wśród pląsów nagle się zatrzymała i na pół przerażona patrzy na pobliskiego trupa; za niemi w mroku toczy się się siwy wstrętny Tyberyusz, oparty na ramionach dwu zalotnic, chcąc zapewne przyjrzeć się ofiarom swoim. Orgia na tym obrazie nie jest nową, bo artysta dowiódł, że takie sceny umie świetnie malować, chociaż tutaj nadał jej odrębny charakter i uchwycił moment żywego, szalonego ruchu. Hulaszczy orszak w *Jawnogrzesznicy*, grono gości Nerona w *Żywych pochodniach* przedstawia się względnie spokojniej. Tutaj zaś, chociaż rozpusta wre na mniejszą skalę, jednakże pląsa żywo w gwałtownych podskokach, i przyznać należy, że artysta wyrazistość tego ruchu oddał w kompozycyi bardzo pięknie, z werwą i życiem, nieprzekraczając granic estetycznej miary, niesiląc się na jaskrawe efekta.

Zasadniczy ton obrazowi nadaje oryginalne i pełne siły traktowanie widoku przyrody, oraz doskonałe przeprowadzenie momentu optycznego. Zimna szarość poranku obleka skały surowością i powagą, nawet na falach morza kładzie mętne barwy, tylko na horyzoncie, z po za szmat podłużnych chmur, ukazują się bladawe pasy światła. Ten ton główny ma nietylko wartość przedmiotową, jako obraz pewnego oświetlenia w naturze, ale zarazem nosi na sobie piętno pewnego podmiotowego nastroju, jako tchnienie poetyczności groźnej i złowrogiej, roztaczającej się nad widokiem spodlenia i zbrodni. Ślepa, bezmyślna uciecha szaleńców wobec tej poważnej przyrody sprawia przejmujące wrażenie, a samo upostaciowanie artystyczne przedmiotu nasuwa widzowi sąd moralny o tej orgii okrutnej, będącej wyuzdaniem jednostkowej swawoli człowieka, co przywykł ludzi uciskać i kruszyć jak cacka.

Taki nastrój obrazu, który w formach przedmiotowych, bez naciąganej stylizacyi, wyraża nietylko treść plastycznej sceny, ale oswieca ją także promieniem myśli etycznej; takie zespolenie treści malowniczej z idealną, jest pokonaniem jednej z. największej trudności dla malarza, gdy chce wykroczyć po za sferę czystej plastyki. Obraz ten jest nowym dowodem, że artysta, pragnący wyrazić jakąś myśl, czy ukazać przedmiot swój w danem oświetleniu moralnem, tylko wtedy osiągnie zamiar z powodzeniem, jeżeli nie będzie narzucał *a priori* przedmiotowi intencyi przechodzącej ramy techniczne sztuki, ale potrafi ją *a posteriori* wydobyć za pomocą naturalnego upostaciowania pomysłów. To szczęśliwe pogodzenie możliwości środków z zamiarami artysty i pięknością wykonania nadaje niepospolitą wartość temu obrazowi, który przynosi zaszczyt naszej sztuce, chociaż autor wbrew gderaniom kwaśnego patryotyzmu przedstawił w nim orgię klasyczną, a nie polsko-szlachecką.

Awanturniczą treść posiada także mały obrazek Matejki *Miłosna przygoda Olbrachta*, na którym artysta przedstawił niemiły wypadek, jaki spotkał młodego Jagiellona, uganiającego się za wdziękami mieszczanki krakowskiej. Gdy Olbracht tajemnie słaniał się nocą po ulicach miasta i gruchał pod oknami swej oblubienicy, jakiś inny zalotnik starł się z nim i koronowanego bałamuta potraktował cięciem pałasza. Na odgłos bójki wybiegła z łoża w bieliźnie, okryta prześcieradłem piękność, o którą krew przelewano. Jeżeli wierzyć artyście, Olbracht miał gust nieszczególny a jego bogdanka jest ordynarną okazałe kobietą, niemającą ani odrobiny wdzięku. Postać ta jest najmniej ponętną częścią obrazka, który zresztą odznacza się prześlicznem malowaniem tła architektonicznego, oraz doskonałym ruchem i układem wszystkich pozostałych figur.

Dzieckiem ducha Matejki jest wielki obraz p. Piwnickiego: *Żółkiewski pod Cecorą*, znajdujący się na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Chociaż jednak w pojęciu szczegółów utworu artysta szedł za wielkim mistrzem krakowskim, jednakże nie zdobył się na cząstkę jego potęgi; ustrzegł się tylko zamętu, wywołanego przez zbytnie skupienie różnych ustępów

akcyi bojowej na jednej przestrzeni. Co prawda, chwila przez niego obrana przedstawia się pod względem strategicznym niezbyt jasno; ale jest to rozsypka, w której resztki polskiego wojska ulegają przeważnej sile a sam wódz chce śmiercią okupić przegraną i paść na polu bitwy. Przedstawienie w takiej chwili hetmana-bohatera jest jednem z najtrudniejszych zadań dla artysty, który czuł zapewnie, że mu nie podoła całkowicie, więc nie wysunął dostatecznie na pierwszy plan postaci głównej, a inne epizody walki traktował współrzędnie. Pomijając szczegóły, zaznaczymy tylko, że grupy walczące po prawej stronie są pomyślane i skomponowane wcale dobrze, na lewo także ruch bojowy uchwycony dość szczęśliwie, środek tylko obrazu trochę pusty a widok na rozległe równiny nie zgadza się z realnem pojęciem momentu walki, albowiem śmierć wodza w takim razie byłaby bocznym tylko epizodem, gdy tymczasem z natury rzeczy musi być ogniskiem ostatnich chwil dramatu. Wogóle widać, że p. Piwnickiemu, jak na malarza bitew, brak trochę temperamentu i dramatyczności, że lepiej oddaje grupy, aniżeli postacie pojedyńcze, na których twarzach niedostatecznie się odbija okropność chwili. Technika, jakkolwiek zmężniała, nie zawsze jest wystarczającą, akcesorya jednak, bronie i ubiory malowane są pięknie i starannie a koloryt pomimo pewnego przyćmienia na dużo wdzięku i harmonii. Jak na batalistę, nieprzebaczonym grzechem jest tutaj nieudolne malowanie koni, które przecież stanowić muszą z natury rzeczy abecadło techniki w tej gałęzi malarstwa. Nie wiemy, czy na tem polu p. Piwnicki zdobędzie sobie trwalsze powodzenie, chociaż jego spokojny, refleksyjny talent, ujawniający się dotąd najszczęśliwiej w studyach martwej natury, nie zdaje się wykazywać nastroju odpowiedniego dla malarza krwi i żelaza. W każdym razie obecny wielki obraz, zalecający się pięknem wykończeniem kilku figur i epizodów, artystycznym smakiem i umiarkowaniem w układzie, jest bardzo poważnem usiłowaniem w dziedzinie historycznego malarstwa i o całe niebo przewyższa szablonowe roboty niektórych naszych drewnianych batalistów.

Dużo uczucia okazał p. Konopacki w *Ułanie*, która stoi nad strugą, oparta na pochyłym pniu drzewa, zapatrzona smętnie w dal, goniąc zapewne myślą niewiernego kochanka. Pomimo wyszukanej trochę pozy, postać ta naprawdę owiana smutkiem, posiada charakter ukraiński i przemawia do widza cierpieniem. Większej jednak wrażenie czyni posępne tło pejzażowe, w którem artysta szczęśliwie połączył prostotę motywów z efektami oświetlenia. Wprawdzie p. Konopacki zdradza pewną nieznajomość perspektywy powietrznej, ale w każdym razie jego obraz zaleca się samodzielnym poglądem na przyrodę, oraz harmonią nastroju optycznego z wewnętrzną treścią obrazu. Jest to artysta, który obecnie łamie się z ostatecznemi trudnościami techniki, a gdy je pokona, będzie twórcą całkowitym.

Wśród obfitego grona pomniejszych nowości, które pojawiły się świeżo w salonie p. Krywulta, znajdujemy kilka obrazów naznaczonych cechą talentu a pomiędzy nimi p. Koniuszki *Blaumontag*, daleko lepszy od wszystkich obrazów tego artysty, przedstawiających sceny żydowskie. Widzimy tu pana majstra kunsztu szewckiego, który zwyczajem swego fachu w poniedziałek, zamiast rzemieniem i dratwą, bawi się czytaniem *Czasu* a za nim terminator, korzystając z nadzwyczajnej swobody, przegryza leniwie kromkę chleba. Pan majster jest prawdziwie typem krakowskiego szewca, przedstawionym nietylko z prawdą, ale z humorem. Z jego pomarszczonej twarzy widać, że swój rozum polityczny bierze na seryo; że bardziej niż prozaiczne szewctwo przypada mu do gustu obcowanie z wesołą kompanijką. Nietylko figury są pełne charakteru, ale całe otoczenie przedstawia bardzo typowy w swoim rodzaju malowniczy widok szewckiej izby, zawalonej mnóstwem rupieci. Całość, trzymana w dobrym tonie, pomimo zbyt ciemnego nieraz kolorytu, przypomina rodzajowe płótna mistrzów flamandzkich, zwłaszcza w układzie i starannem wykonaniu akcesoryów, a w rozwoju talentu p. K. świadczy o istotnym postępie.

Nic nowego nie dał nam p. Löfler w swym obrazku *Wizyta kwestarza mnicha*, przypominającym treścią i układem dawniejsze płody jego pędzla. Ta sama scena rodzinna pojęta czule, idealnie, ta sama postać poczciwego mnicha, ta sama gosposia, krzątająca się koło ugoszczenia przybysza, ta sama wreszcie miękkość delikatna, szlachetna, idealny wdzięk, ta sama skończoność w malowaniu oraz nadużycie różowej barwy w oddaniu ciał. W obrazku p. Pochwilskiego *Dwie wdowy*, postać wychodzącej z kościoła, czarno ubranej kobiety z dziecięciem, malowana jest delikatnie z wykończeniem i wdziękiem. Oryginalną siłą i śmiałością pędzla, zwłaszcza w malowaniu rąk i twarzy, uderza od pierwszego wejrzenia studyum p. Lentza *Kowal*, dwie pyszne akwarelle Kossaka przedstawiające: *Nowy targ* w Krakowie, oraz *Piotra Lipskiego na wojnie Chocimskiej* r. 1624 podług opisu wyjętego z poematu Wacława Potockiego, podobnie jak wszystkie prace tego artysty odznaczają się pysznym rysunkiem, jędrną, szczeropolską werwą i doskonałem odtworzeniem koni. Oryginalną lekcyę widzom dał p. Picard w swej *Sielance greckiej*, przedstawiając parę kochanków, siedzącą w cieniu drzew... bez toalety. Poza kobiety wyuzdana i czelna byłaby odpowiednią chyba w obrazie jakiej lupanarowej sceny. Nie wiem skąd poczerpnął p. Picard natchnienie do takiego pojmowania greckiej sielanki, ale to pewna, że gdyby wstał Teokryt z grobu i zobaczył jego obrazek, możeby pomnożył liczbę godzin klasycyzmu w naszych szkołach.

W salonie rzeźby zwraca uwagę śliczny kobiecy biust Rygiera, który jest pełnym wdzięku idealistą w postaciowaniu twarzy niewieścich. Jeżeli to wizerunek królowej Jadwigi, to na jej głowie gwiaździsta korona jest archeologicznym grzechem; ale przebaczamy go artyście, bo w twarzy rozlał on cichy łagodny spokój, ofiarną rezygnacyę, nadał jej ten czar idealny, który bryle zimnego marmuru każe na wieki być piękną, młodą i promieniejącą.

M. K.

LIBERUM VETO.

Usprawiedliwienie. — Przepisy ministeryum co do chorób zaraźliwych. — Słomka ratunkowa. — Nadzieja w Pasteurze. — Lecznica bezpłatna. — Wskazówka dla księży. — Ofiara dla szwaczek. — Uspokojone sumienie. — Mierzwiński i Kościuszko. — Przyjazd p. Modrzejewskiej. — Bitwa około „Teatru Nowego.“ — Bomby na scenach ogródkowych. — Proces o tytuł ks. Druckiego-Lubeckiego. — Ostrożnie ze starą porcelaną. — Dowody rozmaitości tworów natury... — *Scy* na wystawie ogrodniczej.— Jej rezultat.—Ananasy z ogrodu *Nowości*.

Pięć tygodni upłynęło od chwili, w której po raz ostatni rozmawiałem z wami, czytelnicy na tem miejscu — pięć tygodni dla mnie strasznych, dla was może wesołych. Z innem też zapewnie usposobieniem spotykamy się znowu: ja pragnąłbym zapomnieć o wszystkiem, prócz mojej boleści; wy wiedzieć o wszystkiem, prócz o niej. Zatrzyjmy tę różnicę: wy współczuciem dla strapionego ojca, ja chęcią spełnienia obowiązku względem czytelnika. Postaram się, ażeby ze słów moich ani kropla krwi, ani łez nie ciekły.

Złożywszy do grobu ofiarę tej strasznej dżumy, która pod imieniem szkarlatyny i dyfterytu morduje od pewnego czasu dzieci nasze, przyznać muszę zasługę chociaż tak słabemu ratunkowi, jakim usiłuje zażegnać niebezpieczeństwo ministeryum spraw wewnętrznych. Poleciło ono: 1) zabronić przechowywania przez czas dłuższy zwłok w domach prywatnych; 2) przenoszenia ich do kościołów w przeddzień nabożeństwa żałobnego; 3) gromadzenia się dzieci około trumny; 4) zaświadczać z większą szybkością śmierć w wypadkach zarazy i 5) rozciągnąć większy nadzór nad chowaniem ciał zmarłych z zarazy i grzebać je głęboko. Kto widział zupełną bezsilność lekarzy wobec cięższych wypadków szkarlatyny i dyfterytu, haniebną niemoc użytych przeciw nim środków hygienicznych i aptecznych; kto patrzył na jakąś niewidzialną, niszczącą potęgę moru, który udaremnia wszystkie nasze zabiegi; kto chronił troskliwie swe dzieci od możliwości niebezpieczeństwa i odeprzeć go nie zdołał— ten w rozporządzeniu ministeryalnem zbawienia nie odnajdzie. Ale chociażby ono tylko zapobiegło jednemu możliwemu wypadkowi, zasługuje na uwagę. Tonąc, czepiajmy się słomek, jeśli nam nie wystarcza bezwładne wobec strasznego moru *liberum veto* i dopóki wielki badacz francuski, Pasteur, pracujący nad poznaniem istoty zarazków, nie uwolni od nich świata. Jeśli tego wielkiego dzieła dokona, jeśli dzięki jemu będziemy kiedyś szczepili szkarlatynę lub dyfteryt, jak dziś ospę, ludzkość powinna ucałować zbawczą rękę. Tymczasem przeklinajmy lub skarżmy się na los, który nam wydziera dzieci w chwili, gdy Pasteurowie jeszcze nie zbadali mikrobów.

Wobec tylu chorób, grasujących w naszem mieście, rzeczywistem dobrodziejstwem dla biedaków jest nowozałożona, staraniem ks. Z. Chełmickiego, bezpłatna lecznica przy ulicy Długiej. Należało się to dawno tym, którzy ledwie mogą ratować swe życie w zdrowiu i dla których pomoc w chorobie jest zbytkiem. Dobrze więc, że powstała instytucya, która może nieraz zagoi rozkrwawione serce ojcu, matce, mężowi lub żonie. Jest to *res sacra* a starania około niej są daleko właściwszem zajęciem dla księży, niż ustawiczne ćwiczenia karciane w domu i wyklinanie postępowców w kościele. Ksiądz Chełmicki, dzięki gorliwej usłudze lekarzy, spełnił szczęśliwie sakrament wspólnej wszystkim ludziom religii, która się nazywa miłosierdziem. Przeciwko takiemu nabożeństwu nie protestują ci, którzy nie radziby widzieć księży, opróżniających kieszenie ludu chciwością i zapychających jego głowy fanatyzmem.

W ostatnich latach miłosierdzie zrodziło u nas kilka bardzo pięknych objawów. Jednym z nich jest bezimienna ofiara 50,000 rs. dla szwaczek, szczodra nawet wtedy, gdyby z niej jedno zero trzeba było strącić na rachunek bujnej wyobraźni reporterskiej. Istoty te, które dziś są jedynie przedmiotem opieki ulicznych uwodzicieli, zasługują na względy usiłowań szlachetnych. Trzeba pomódz ich biedzie i ich mimowolnym upadkom, ażeby przestały być rybami, które publicznie łowić może każdy głodny cieł niewieściej rozpustnik. Wieczna to kolej życia ludzkiego: jeśli jedna ręka nie odprowadzi nieszczęśliwych od przepaści, to druga ich w nią strąci. A strąca się u nas szwaczek w przepaść bardzo dużo, więcej, niż sumienie społeczeństwa znieść może.

Nie słyszymy jego wyrzutów, bo je zagłusza grzmot oklasków dla p. Mierzwińskiego lub walka o Teatr Nowy, przerobio-

ny z Alkazaru. Krytyce naszej nierzadko się zdarza dostać pomięszania zmysłów; takiego jednak obłędu, jak podczas wystąpień p. Mierzwińskiego, nie zdołał w niej wywołać nawet świeżo zdechły na wyścigach Kiejstut. Utalentowany śpiewak, który, gdyby był w Warszawie, z pewnością by *Kuryery* ściągały go za nogi ze sceny i darowywały teatrzykom ogródkowym, stał się przedmiotem takich owacyj, jakich Kościuszko nigdy nie zaznał. Głupi wymysł, że nasze serce i rozum owładnęło uczucie polityczno-społeczne; nas zdolna zapalić tylko iskra uwielbienia dla śpiewaka i aktora. Po za bezbrzeżnem morzem tego zapału stoją lodowe skały obojętności, na których zaledwie rzadko rosną karłowato inne myśli i inne uczucia. Ktoby przed dwoma jeszcze miesiącami przypuszczał, że w operze paryskiej jest człowiek, zdolny pobudzić nas do najwyższych uniesień? Zaiste dziwić się można, że nie wytężymy wszystkich sił i nie kupimy sobie tego człowieka, dla którego ojczyzną jest najlepiej płacąca opera a który by nas prawdopodobnie poprowadził do wyższych przeznaczeń. Nie martwmy się jednak: wkrótce podobno przyjeżdża do Warszawy pani Modrzejewska, będąca — jak zaświadczyło pewne zebranie poznańskie — „przewodniczką i hasłem młodzieży polskiej,“ która nam zbłąkać się w drodze nie pozwoli.

Około „Nowego Teatru,“ jak łatwo było przewidzieć, pisma nasze stoczyły krwawą bitwę. Stara gwardya poprzedniego prezesa teatrów warszawskich uderzyła zajadle na ten nowy przybytek, a ułani nowego odparli atak mężnie. Według pierwszych „Teatr Nowy“ jest niesmaczną budą, według drugich — gustownem cackiem. Nie probuję pogodzić zwaśnionych, bo uczynić by to mogli jedynie wodzowie obu drużyn, podawszy sobie ręce. Robię wszakże to, co zrobić mogę: składam słowa głębokiego uznania dla godności pism, walczących po obu stronach.

Po scenach teatrzyków ogródkowych, które zrywają się już do odlotu, przeszedł długi szereg tak zwanych „bomb,“ najrozmaitiej utytułowanych a jednako uzdolnionych, które przekonywają, że u nas fabrykacya przyrządów teatralno-wybuchowych spiesznie wzrasta i że publiczność warszawska łapie się na te same przynęty, które chciwie połyka prowincyonalna. Nie potrzebujemy już teraz urągać ani Łomży, ani Siedlcom — lubimy toż samo.

Jeżeli w obecnej chwili poważni publicyści petersburscy, na jawie i we śnie rozmyślający nad restauracyą państwa, mogą rozprawiać o działaniu kepi na wychowanie młodzieży szkolnej, to doprawdy trudno się dziwić naszym, zajętym walką towarzystw tramwajowych albo nawet tytulacyą literackąks. Druckiego-Lubeckiego, o którego owocu wspominamy w dzisiejszym numerze *Prawdy*, a który dał powód do publicznego w naszej prasie procesu. P. Rembowski napisał w *Niwie* kilka słów z powodu tej broszury, nazwawszy jej autora *panem* Druckim-Lubeckim. Na szczęście w społeczeństwie naszem, w którem niedawno jeszcze *Biblioteka Warszawska* i *Kuryer Warszawski* nie mogły się doszukać usposobień arystokratycznych, żył groźny mąż, niejaki pan (przepraszam, jeśli przez niewiadomość zniżam jego tytuł) Waliszewski, który w tejże *Niwie* pociągnął demokratycznego krytyka przed sąd publiczny, grożąc złamaniem czynnego dla niej pióra. Ponieważ i my wraz z czytelnikami bierzemy udział w wyrokowaniu opinii publicznej, przyznajemy p. Waliszewskiemu zupełną słuszność, jeśli to uczynił z polecenia ks. Druckiego-Lubeckiego, i prosimy go, ażeby dalej zdobił kolumny *Wieku*, w których inny demokrata „z nad Niemna“ utrzymuje, że chłop tamtejszy może się wprawdzie oświecić i umoralnić przez naukę, ale tylko *pod dyscypliną* z *tęgiego surowca*. Brandes roskoszował się De Maistrem, opierającym społeczeństwo na dwu filarach: kacie i papieżu, my roskoszujmy się garniturem swojskiej porcelany literackiej z czasów Starosty Kaniowskiego. Wszystko, co do muzeum wstawić warto, wstawić trzeba. Gdyby kto p. Waliszewskiego lub korrespondenta *Wieku* „z nad Niemna“ odświeżył i odnowił, ze względu na ich starożytność, nie czulibyśmy wdzięczności.

Tryumfalnie zakończyła swój popis wystawa ogrodnicza, spuściwszy na uczestników deszcz srebrnych i złotych medalów. Nagrody te warto było przyznać nadewszystko .....*skim*. Że niemcy i francuzi hodują u nas piękne kwiaty i owoce, wiedzieliśmy dawno; ale że ...*scy* robią toż samo, dowodnie przekonaliśmy się dopiero teraz. Pierwsza to chyba wystawa, która ujawniła dość znaczny procent swojskich hodowców i swojskich płodów. Bo gdy przemysłowa i rolnicza dowiodły, że niemiec jest u nas zdolnym fabrykantem lub koń angielski troskliwie wychowanem zwierzęciem, ogrodnicza przedstawiła polską pracę i polskie jej owoce. Jeżeli zaś, jak głoszą, zrodziła ona i towarzystwo ogrodnicze, możemy z niej być zupełnie zadowoleni.

W końcu winienem rozpieczętować ostatnią posyłkę owoców z ogrodu *Nowości*. Zawiera ona dwa ananasy: projekt podatku od niesłużących wojskowo i projekt reformy sądów gminnych w Królestwie Polskiem. Kto głodny, niech je spożyje. Mnie zbyt serce boli, ażebym mógł o nich pomówić wesoło. Z tegoż samego powodu muszę na później odłożyć, arytmetyczno-krytyczne działanie p. Sienkiewicza, który umieszczając nieśmiertelność w odjemnej, a małość innych literatów w odjemniku, otrzymuje swoją własną sławę w obfitej reszcie.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Z ostatnich wiadomości prowincyonalnych na pierwszem miejscu stawiamy szczegóły, odnoszące się do kolei Iwangrodzko-Dąbrowskiej. Czerpiemy je z *Gazety Kieleckiej*, która najlatwiej może wiedzieć o przebiegu budowy. Donosi ona, że 22 września przybyła do Kielc specyalna komisya rządowa dla obejrzenia na gruncie wytkniętego ostatecznego kierunku drogi. Grono to składa się z delegatów kilku ministeryów, z przedstawiciela Towarzystwa (J. Blocha) i naczelnych inżenierów. Obrady potrwają do 10 października. O kilku punktach spornych sprawozdawca gazety daje wyjaśnienia, które powtarzamy dla użytku tych co, o jedynej obecnie budującej się w Królestwie kolei chcą mieć świeże i wiarogodne informacye. „Główny inżenier drogi i delegat ministeryum wojny, oświadczyli w naszej obecności, że przeciw pobudowaniu dworca w prostym kierunku ulicy Konstantego, na płaszczyźnie po za posesyą Szmidta za wodą, nie znajdują żadnej przeszkody, polegające w tej mierze na przyszłem współdziałaniu obywateli Kielc. Na miejscu był obecny prezydent miasta z kilkoma obywatelami...“ Co znaczy owo „współdziałanie“ obywateli — nie rozumiemy. Przypuszczamy, że obywatele nie będą stawiali przeszkód zbudowaniu dworca blisko od miasta, pomni na to, że w ich własnym interesie leży uniknięcie zbytecznej odległości, na której może wygrać tylko przemysł wozowy i dorożkarski.

Sprawozdawca prostuje następnie wiadomość, jakoby kierunek drogi miał być zmienionym i poprowadzonym przez Pociczów, gdzie miał powstać oszańcowany obóz. „Myśl sama upadła w zaczątku.“

Wreszcie i „zarząd Towarzystwa stara się o zmniejszenie, jeżeli nie o całkowite pominięcie projektowanego tunelu pod Podleśną Wolą w miechowskiem, dla oszczędzenia kosztów w tym razie obliczonych na 700,000 rs. W tym celu na owo miejsce Towarzystwo delegowało komisyę, ostateczna jednak decyzya zawisłą jest od władz wyższych.“

W perspektywie prowincyonalnej dostrzegamy dalej proces kryminalny z sali sądowej łomżyńskiej (9 września), kilka szczegółów dotyczących bytu włościan i głośną sprawę włościan powiatu konstantynowskiego na Wołyniu, którą w tych dniach rozstrzygał sąd okręgowy żytomierski.

Pisarz gimnazyum łomżyńskiego podsuwał dyrektorowi do podpisu listę płacy dla stróżów z powiększoną pensyą o dziesiątki rubli. Pisząc talon i asygnacyę na wydatki gospodarskie zostawiał miejsce przed wyrazem „sto“ i podpisane dokumenty fałszował dopisując „tri,“ skąd powstawało „trista.“ Te ostatnią sumę podnosił z kasy. Zajmował się przytem filantropią, pomagając młodzieży do ukończenia klas czterech czy sześciu za pomocą świadectw fabrykowanych na kolanie.

Na brzegu jednak utonął, przepłynąwszy długie morze oszustw i płynącego z nich bogacenia się. Oto wykradł osełkę „z łaciny,“ na której miały się przy egzaminie 1878 r. tępić czy ostrzyć głowy — uczniów. Uczniowie korzystali z usług pisarza i zostali schwytani na gorącym uczynku, a pisarz — zdemaskowany. Sąd skazał go za nadużycia w urzędowaniu, z pozbawieniem praw, na osiedlenie w gubernii tomskiej.

Z życia ludu tym razem zbieg dwu wiadomości pomyślnych. W Płocku 24 września otworzono pierwszą gospodę chrześciańską. W miechowskiem włościanie wsi Witowiec odłączyli się od szkoły w Gołczy i postanowili założyć wspólnym kosztem nową. Jeden z zamożniejszych ofiarował na ten cel swój dom, lecz gdy ten okazał się za szczupły, postanowiono wybudować nowy, obszerny. Korespondent *Gazety Świątecznej*, który o tym fakcie donosi, przypomina, że istnieje przez prawo ustanowiony urząd *nadzorcy szkolnego*, którego wybór zależy od włościan.

. . . .

„Fi!.. quelles détestables figures!“ woła z oburzeniem p. B. brunet średniego wzrostu poczuwszy swym arystokratycznym noskiem zapach tytoniu palonego przez potomków chama (czytamy to w korespondencyi do *Nowin* z Mińska pod wpływem wrażeń doznanych w wagonie). Jakże zarząd drogi — ciągnął dalej nasz brunet — może pakować nas z takiem bydłem, ps...kr..., z przeproszeniem! Za granicą na wszystkich drogach są osobne wagony dla takich stworzeń (?).“

PP. B. i F. zjawiają się po raz drugi w wagonie, już nie sami, ale w towarzystwie konduktora. Dla zabezpieczenia pp. B. i F. od wszelkich niearystokratycznych zapachów za najlepszy środek uznano „wypędzenie bydła.“

Tym sposobem wyrzucono z wagonu kolei Moskiewsko-Brzeskiej kilku robotników.

Zbliżeniu się „inteligencyi“ do ludu — stało się w tym wypadku zadość!!...

. . . .

Na ławie oskarżonych w Żytomierzu zasiadło 207 włościan ze Swinny oskarżonych o odebranie księdzu kluczów od cerkwi i sprzeciwianie się władzy.

Niedziela tak opisuje sprawę: Miejscowy Paroch Sawicki obchodził się z parafianami w sposób grubiański i wyzyskiwał po barbarzyńsku. Za wydanie metryki przy ślubie

brał po 3 rs. i kilka dni robocizny. Potrzebując 80 rubli na zbudowanie murowanej piwnicy, skłaniał włościan do wydania mu tych pieniędzy z sum cerkiewnych, a kiedy włościanie się nie zgadzali — zamknął zgromadzonych na nabożeństwo i przetrzymał w cerkwi od rana do wieczora. Włościanie znosili do czasu to jarzmo, ale i w tych niewolniczych do niedawna duszach brakło cierpliwości. Kiedy Sawicki zażądał, żeby się zapisywali do wielkanocnej spowiedzi i składali datki u niego w mieszkaniu zamiast w cerkwi, odebrał odpowiedź odmowną. Wówczas rzekł „spalcie cerkiew, kiedy tak.“ Oburzeni włościanie odebrali od starosty klucze i postanowili nie oddawać, dopóki Sawickiego nie zastąpi inny paroch. Wdanie się powiatowej władzy nie przyniosło pożądanych przez nią i księdza skutków. Włościanie za bunt przeciw kościelnej i świeckiej władzy zasiedli na ławie oskarżonych. Po upływie półtora roku od wypadku, 25 sierpnia (s.s.) stanęło przed sądem 207 włościan, ponieważ z liczby 212 pięciu w tym czasie umarło. Sawicki przeniesiony do innej parafii przed kratkami nie stanął „z powodu choroby żony,“ a świadek, sprawnik — z powodu choroby własnej. Prokurator żądał uwięzienia oskarżonych na 4 miesiące. Sąd, po czterogodzinnej naradzie podsądnych, jak należało, uwolnił.

P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 30 września.

Spotkanie dwu monarchów w Gdańsku, które naprzód przeraziło Europę, jako niespodzianka, później zaciekawiło, jako tajemnica, dotąd jeszcze wplata swe nici w pasmo dociekań dziennikarskich. Do gasnącego ognia dolał oliwy dziennik węgierski *Egyetertes*, który ogłosił niewiadomą ręką dlań skradzione a zupełnie wiarogodne depesze o przedmiocie monarszych narad. Właściwie nie treść tych depesz, która jest dość ogólnikowa, ale ich źródło, dotąd niewykryte, głównie zaintrygowało wszystkich. Mówią one bowiem tylko o pokojowych zaręczynach cesarzów i o ich współdziałaniu przeciwko żywiołom rewolucyjnym. Jakkolwiek sam zjazd gdański był istotnie ze strony formalnej faktem nieprzewidzianym, powinien on był oszczędzić zdumienia każdemu, kogo zapowiedzi o zmianie polityki rosyjskiej i jej skierowaniu się na drogę wyłącznie słowiańską nie uwiodły. Polityka państwa nie jest jaskółką, łamiącą cochwila linię swego biegu, ale ciężką lokomotywą, która musi dobiedz do swej zwrotnicy, ażeby się mogła zwrócić lub przejść na inne relsy. W życiu zaś Rosyi tradycye przyjacielskie dla Niemiec są tak głęboko zakorzenione, interesy obu państw posiadają tyle węzłów wspólnych, że nowe stwierdzenie tego faktu było wypadkiem naturalnym, którego nawet odmienny, chwilowy prąd powstrzymać nie zdołał. Przyjaźń owa jest dotąd dogmatem politycznym, o którym niewierni czasem wątpią, ale którego kult dyplomatyczny dotąd nie usunął. Ochłonąwszy więc z wrażeń niespodzianki, przyznajmy faktowi zupełną naturalność.

Zjazd gdański miał jeszcze inny skutek: wpłynął na zbliżenie się Anglii z Francyą, dotąd wyrażone w postępie narad nad traktatem handlowym. Tymczasem przyjaźń poprzestała na takiej formie a może przybierze ściślejszą, jeżeli starcie interesów anglo-fracuskich w Afryce jej nie udusi. Jeśli wszakże fortuna nie zatoczy swego koła na korzyść francuzów, niewiele podobno zrobią oni szkody komukolwiek w Tunisie. Dotychczas tylko coraz bardziej brną w kłopoty, osładzane drobniutkimi tryumfami, niegodnymi chorągwi wielkiego mocarstwa. Wątpliwości nie ulega, że cała wyprawa do Afryki była pomysłem niefortunnym a jej wykonanie nosi na sobie jeszcze ślady tej nieudolności wojskowej, której wymowne dowody złożyli francuzi w r. 1870. Trudno też nie podzielać oskarżeń skrajnej lewicy, pociągającej rząd do odpowiedzialności i żądającej zwołania izb. Tymczasem hr. Moltke się śmieje a ks. Bismark kiwa wzgardliwie głową.

W Afganistanie znowu zamąciła się woda, w której Anglia ryby łowić zacznie. Emir pobił Ejuba-chana i usiłuje zawładnąć rokoszem. Trudno przewidzieć, czy i o ile mu się to uda. Z tylu stron podpalany i tak burzliwe żywioły zawierający kociołek afganistański może znowu wrzeć i kipieć zacznie, jeżeli John Bull ognia pod nim nie przygasi.

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych, pochowawszy zmarłego i upewniwszy, że będzie się trzymał w swej polityce zatkniętej przez niego krawędzi, rozpoczął już prolog swej komedyi, którą, jeśli prawdopodobieństwo nie myli, z powodzeniem odegra. Arthur odmalowany został w prasie europejskiej jako wódz żywiołów moralnie zepsutych, jego więc gospodarstwo nie zapowiada Ameryce rozkosznej przyszłości.

Chwila obecna jest dla Rosyi dobą energicznej roboty. Na innem miejscu mówimy o prawach wyjątkowych przeciw rewolucyonistom; nadto wyprowadzono dla ostatecznego rozstrzygnięcia sprawę wykupu gruntów włościańskich, kwestyę przesiedlenia się włościan i — opilstwo. Nad tem ostatniem mają obradować takie biegli z Królestwa powołani. Pragnęlibyśmy, ażeby podjęli tę rolę z dostatecznem przygotowaniem.

T.

WÓŁ PYTAGORASA I PRAWDA.

Amicus Plato sed magis amica veritas.

W przekonaniu, że Redakcya *Prawdy* tą zasadą się rządzi, do niej się zwracamy z prośbą o wydrukowanie poniższego artykułu.

„Archimedes zdobywszy swą wielką prawdę, poświęcił podobno hekatomby na ofiarę bogom. Od owej chwili — twierdzi Börne — woły obawiają się każdej nowej prawdy.“ Tak mówi pan Finkelhaus w swoim „Projekcie banku państwowego dla ubezpieczenia rozchodów“ pomieszczonym w NNr. 30 i 31 *Prawdy* i na tej właśnie podstawie obawia się, że projekt jego nie prędko może przyoblecze się w ciało. Projektodawca więc śmiało twierdzi, że pomysł jego jest *prawdą* i do tego *nową*. Czy tak jest rzeczywiście — pomówimy o tem dalej. Tymczasem pozwolimy sobie tylko zapewnić p. Finkelhausa, że Börne nie był tyle co on złośliwym i rozrzutności, jakiej się dopuścił Pytagoras, nie przypisywał Archimedesowi. A teraz wróćmy do rzeczy głównej.

Wspomnianą wyżej obawą, jaka dręczy woły przy pojawieniu się na świat każdej nowej prawdy, p. F. objaśnia sobie ten fakt, „dlaczego każdy, dbający o urzeczywistnienie swej idei, oździwuje dla niej antenatów choćby w klasycznych Atenach lub Sparcie,“ a następnie ubolewa nad tem, że jemu „trudno jest zaczepić w pomroce dziejowej o instytucyę pokrewną projektowanej.“ A pocóż było poczynać sobie tak uczenie?! Jeżeli pomroka dziejowa, okrywająca handlowe i ekonomiczne instytucye starożytności, nie jest dla p. F. nieprzejrzanie ciemna, to mógł on wiedzieć bez żadnych poszukiwań, że nie znajdzie w niej antenata dla swego pomysłu. Za mało na to była jeszcze rozwinięta w owych czasach idea kredytu i jej materyalne organy. Myli się jednak p. F., gdy przypuszcza, że w średnich wiekach mnożenie pieniędzy za pomocą procentów składanych uważanoby za kłamstwo. I średnie wieki i starożytność nawet, znały potęgę procentów składanych, ale znały zarazem ich ciężar i niebezpieczeństwo dla dłużnika; dla tego właśnie starożytni albo zakazywali ich pobierać zupełnie, albo też tylko ograniczali prawo ich pobierania do wysokości *alterum tantum*. W nowszych czasach florenckie prawo z roku 1693 zakazywało doliczania składanych procentów dłużej nad lat 7, bez wyraźnej nowej umowy [1]). Potrzeba wydania takiego prawa wskazuje, że obliczanie procentów składanych musiało się praktykować już daleko dawniej i że ciężar ich potężnie przygniatał dłużników; „mnożenie więc pieniędzy za pomocą procentów składanych“ musiało nie być nieznane i w średnich wiekach i nie mogłoby być uważane za kłamstwo.

Gdyby p. F. zamiast błądzić omackiem w pomroce dziejowej, był tylko za bytności swej w Paryżu nie zamykał umyślnie oczu na rzeczy, których widzieć nie chciał, byłby napewno czy to przy świetle słońca, czy lamp elektrycznych na Avenue de l' Opéra pod nr. 8 spostrzegł na rzucających się przez swą pstrociznę w oczy szyldach „Société anonyme des coupons commerciaux“ wypisane wielkiemi literami rady: *N' achetez rien sans reclamer de vos fournisseurs des coupons commerciaux, remboursement gratuit assuré de toutes vos dépenses.* Inne szyldy większemi jeszcze literami głoszą krótko, ale jasno i zrozumiale: *Remboursement des dépenses et reconstitution des capitaux.*

Pan F. mieszkał podobno kilka miesięcy w Paryżu w czasie wystawy t. j. właśnie wtedy, gdy Towarzystwo kupców działalność swoję dopiero rozpoczynało [2]) (pierwotnie jako filia londyńskiego towarzystwa „The General Expenditure Assurance Company“) i najsilniej się reklamowało. Obecnie znowu autor *Projektu B. P. dla U. R.* bawił w stolicy Francyi przez 6 tygodni, i rzecz dziwna! — pomimo że wspomniane wyżej towarzystwo za pośrednictwem posłańców i kupców rozrzuca na wszystkie strony Paryża dziesiątki tysięcy ogłoszeń, taryf, broszur i reklam, pomimo że nad wszystkimi sklepami, wydającymi swym klientom „kupony handlowe“ [3]), jest umieszczona pstra marka Towarzystwa, opatrzona jego firmą, pomimo to, nareszcie, że niema zapewne w Paryżu ani jednego mieszkańca, któryby o istnieniu „Towarzystwa K. H.“ i jego celu nie wiedział, pomimo to wszystko, powtarzam raz jeszcze, p. F. zdołał się przez 6 tygodni uchronić od powzięcia wiadomości o antenacie swego projektu, wiadomości, która właśnie dla niego tak była pożądana, że jej aż w pomroce dziejów mężnie poszukiwał!

Niemniej dziwną jest rzeczą, że p. F., będąc w Londynie, nie dowiedział się nic o istnieniu „Ogólnego Towarzystwa Ubezpieczenia rozchodów“ (*The General Expenditure Assurance Company*). Towarzystwo to istnieje już od lat 6-ciu, reklamuje się potężnie na angielski sposób, cieszy się daleko większem powodzeniem, niż paryskie,

---

[1]) Patrz u Roschera, *Die Grundlagen der Nationalökonomie. Dritte Auflage*, str. 383.

[2]) Już od r. 1868 istnieje w Paryżu drugie podobne towarzystwo „L'assurance financière,“ którego dyrektor, p. J. Blanchet, jest właściwym autorem pomysłu t. zw. ubezpieczenia rozchodów; lecz pomimo to, że finansowo stoi ono lepiej od Tow. K. H., wśród ogółu jest mniej znane, niż towarzystwo dla ub. rozch., ponieważ mniej się ono reklamuje i ponieważ sprzedawanie kuponów kupcom stanowi gałąź podrzędną jego operacyj finansowych.

[3]) Jest takich sklepów w Paryżu podług wykazu Towarzystwa przeszło 1,200.

a jednak p. F., który (jak to wnosić można z jego korespondencyj) mieszkał w Londynie dość długo, zwiedził wszystkie ważniejsze instytucye tego miasta — filantropijne, naukowe, handlowe, przemysłowe, sądowe i polityczne, — o wspomnianem Towarzystwie, o owym antenacie przyszłego swego projektu nic a nic nie słyszał. Gdyby temu można było uwierzyć, to p. F. przypominałby mocno owego bohatera bajki Kryłowa, który zwiedzając gabinet zoologiczny wszystko widział, obejrzał i zapamiętał tylko słonia nie zauważył.

Ale nie dość na tem. P. F. miał jeszcze jedną drogę do poznajomienia się z pierwowzorem swego umysłowego płodu — drogę naukową. Kwestya towarzystw dla ubezpieczenia rozchodów była w swoim czasie (między r. 1875 a 78) za granicą głośna. Wszystkie pisma poświęcone ekonomii obszernie nad nią debatowały. W Niemczech apostołował dla niej w r. 1876 i 7. Dr. Wilhelm Löwenthal, popularyzując ją naprzód drogą dziennikarską za pośrednictwem *Vossische Zeitung*, a następnie przy pomocy dwukrotnie wydanej broszury pod tytułem: *Die Ausgaben-Versicherung. Einer der mächtigsten Hebel zur Einführung des Baarverkehrs und Förderung des allgemeinen Wohlstandes.*" *Berlin, 1877.* P. F. podobno zajmuje się ekonomią, często z góry w jej imieniu przemawia, a utrzymuje, że nie wiedział nic o tak głośnej ekonomicznej kwestyi. Gdyby p. F. czytywał pisma ekonomiczne, musiałby się i dzisiaj jeszcze nieraz spotkać z wzmianką o „niebezpiecznej utopii robienia oszczędności za pomocą rozchodów" [1]) (l'utopie dangereuse de l'épargne par la dépense), której nigdy ekonomiści nie pomijają, ile razy mówią o instytucyach, mających na celu oszczędność, a która musiałaby była naprowadzić p. F. na ślad antenata jego projektu.

Tak więc p. Finkelhaus odkrył Amerykę w cztery wieki po Kolumbie.

Czy tylko odkrył? Sceptyczni ludzie zazwyczaj takim spóźnionym odkryciom nie dowierzają. Nuż kto teraz posądzi p. F., że projekt swój... zapożyczył? Ja jednak do sceptyków nie należę i od tak niegodnego posądzenia daleki jestem. Podziwiam tylko rzadką jedność myśli i podobieństwo wyrażeń autora Projektu B. P. i redaktora reklamy Towarzystwa Kup. Handl.; podziwiam jeszcze więcej niesłychanie dziwną zaprawdę tożsamość układu wspomnianych dwu elaboratów. Takie nadzwyczajne podobieństwo przejawów działalności mózgowej u dwu osobników, należących do dwu różnych narodowości i piszących o rzeczy zupełnie nowej, oryginalnie przez każdego z nich zosobna pomyślanej, przedstawia fakt tak rzadki i ciekawy, że dopravdy godzien on jest zwrócić na siebie uwagę, jeżeli już nie całego ogółu, to przynajmniej ludzi, lubiących się zajmować psychologicznemi studyami. Dla ułatwienia właśnie tym ostatnim studyów nad wspomnianym faktem przytaczam tutaj w dosłownem tłomaczeniu tekst reklamy Tow. Kup. Handl. i zestawiam go z projektem p. F.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W Warszawie wyznaczona została specyalna komisya do zbadania domów pod względem wewnętrznego ich utrzymania.

— Ministeryum spraw wewnętrznych przedsięwzięło gruntowną reformę systematu wydawania przywilejów na odkrycia i wynalazki.

— 50,000 rubli ofiarowała pewna dobroczynna osoba na rzecz polepszenia losu szwaczek; ofiara ta jest w związku z projektem założenia dla nich pracowni.

— Przygotowany już został projekt zmiany sposobu pobierania podatków od włościan i mieszczan oraz nowa ustawa pasportowa.

— W sferach wyższych rządowych zdecydowano już podwyższenie płacy lekarzy wojskowych.

Nauki. W Londynie odbył się kongres filologiczny, zebrany w celu poznania stosunku języków słowiańskich do główniejszych germańskich i romańskich i odnalezienia związku pomiędzy temi grupami.

— Według obliczeń Bilinusa, ogólna liczba lekarzy na kuli ziemskiej wynosi 180,000; z nich 11,600 zajmuje się nauką i literaturą. Najwięcej lekarzy jest w Stanach Zjednoczonych, bo 65,000; dalej w Anglii 35,000, w Niemczech i Austryi 32.000, we Francyi 26,000, we Włoszech 10,000. Dzieł medycznych wychodzi rocznie około 1,000 tomów i około 1,600 broszur. W r. 1879 wychodziło 655 czasopism medycznych; z tego w Ameryce 15, w Niemczech 129, we Francyi 122, we Włoszech 65, w Anglii 54.

— Członek rosyjskiego Towarzystwa archeologicznego p. Kelsiew, czyniąc poszukiwania archeologiczne w pobliżu Woroneża, odkrył bardzo ważne wykopaliska. W powiecie woroneżskim leży wieś Kostienki, obfitująca w mnóstwo kości zwierząt. Dwa lata temu p. Polakow stwierdził, że były to kości mamuta, przyczem napotkał ślady człowieka przedhistorycznego. Świeżo delegowany przez rosyjskie muzeum starożytności w Moskwie w głębokości $2^1/_2$ arszyna pod grubą warstwą czarnoziemu, w glinie napotkał warstwę, zawierającą mnóstwo pozostałości kłów, zębów i innych kości mamuta, a dalej ślady popiołu węgli, kości przepalonych, noże krzemienne i łopatki bardzo pierwotnej formy. Przedmiotów tych całych i połamanych wydobyto dotąd sztuk 480.

— Posiedzenia kongresu międzynarodowego archeologicznego w Tyflsie otwarte zostały przez księcia Melikowa. Prezesem głównym obrany został Komarow. Obecnych 50 delegowanych, pomiędzy nimi Virchow i Kostmarow. Jednocześnie otwarto Muzeum kaukaskie, odznaczające się wielkiem bogactwem zbiorów.

— Szwajcar Juvet, zamieszkały w Ameryce, wynalazł nowy przyrząd naukowy, nazwany zegarem geograficznym, składający się z globusu, zawierającego mechanizm zegarowy, który to globus obraca się na około swej osi w ciągu 24 godzin. Zrobiony on jest z pewnej mięszaniny metalowej; przymocowany w położeniu pochyłem do postumentu z bronzu. W jednym z biegunów ziemi mieści się mechanizm, drugi północny zaopatrzony w cyferblat szklanny. Równik obwiedziony jest obręczą, na której oznaczone są godziny dnia i nocy i która służy za cyferblat dla ziemi. Przeprowadziwszy linię prostą od jednego z biegunów do równika, można oznaczyć czas każdej miejscowości, a zarazem wiedzieć gdzie poranek, dzień, wieczór i noc. Globus pokazuje nader wyraźnie obroty ziemi i położenie jej względem słońca.

— W Berlinie odbył się piąty kongres oryentalistów pod przewodnictwem profesora Dillmana. Głównym jego celem jest zbliżenie do siebie wzajemne uczonych zajmujących się małoznanymi narodami wschodu i wzajemna wymiana wiadomości, mogących mieć znaczenie praktyczne w stosunkach dyplomatycznych i handlowych.

Szkoły i uniwersytety. W Niżnim Nowgorodzie odbył się zjad miejscowy nauczycieli i nauczycielek ludowych.

Przemysł, handel i komunikacye. Zarząd kolei konnych warszawskich składają pp.: prezes Władysław Kiślanski, dyrektor inżynier Dubeltowicz, naczelnik ruchu Józef Naimski, naczelnik wagonów Beczkowicz, weterynarz Romuald Sobolewski.

— Towarzystwo warszawskiej fabryki wyrobów metalowych pod nazwą *Wulkan* objęło już na własność fabrykę takichże wyrobów pod firmą „Karola Mintera.

Rolnictwo i ogrodnictwo. Na wystawie ogrodniczej w Warszawie, która wypadła bardzo świetnie, oprócz oddziału warzyw, drzew i owoców, urządzono także specyalny oddział narzędzi ogrodniczych. Nadesłano także piękne plany urządzeń ogrodów i parków. Ogród i sala Doliny Szwajcarskiej mieszczące wystawę zostały przybrane wspaniale.

— W gubernii twerskiej i orłowskiej pojawił się nowy robak, zrządzający wielkie spustoszenia w polach przez podgryzanie korzeni roślin.

Sztuki piękne. Pomnik Gogola postawiony został na skwerze miejskim w Nieżynie.

Literatura niemiecka. *Briefe ueber die gegenwärtige Lage Russlands.*

— Katscher. *Bilder aus dem Minesischen Leben.*

— Meyer. *Geschichte des Landes Posen.*

— Deecke. *Etruskische Forschungen und Studien.*

— Bauer. *Themistokles*, studium zur grichischen Historiographie.

Literatura francuska. *Archives de la Bastille*, documents inedits.

— Dela Jonquières. *Histoire de l'empire Ottoman* depuis les origines jusquá traité de Berlin.

— Lenormant. *Grande Grèce*, paysage et histoire.

— Roller. *Les catacombes de Rome*, histoire de l'art et des croyances religieuse pendat les premiers siécles du christianisme.

— Youferon. *Etudes ethnographique sur les bachkirs.*

Teatr. Nowe towarzystwo dramatyczne pod dyrekcyą pp. Teksla i Kalicińskiego rozpoczęło już szereg przedstawień w Częstochowie.

— Pan Wołoszko, tenor liryczny, zamówiony został na tegoroczny sezon opery warszawskiej.

— Catalani, autor nowej opery *Elda*, przybył do Warszawy dla kierowania wystawieniem swego utworu.

— Dyrekcya teatrów warszawskich przyjęła do grania dwie komedyjki: *Złotego cielca* Dobrzańskiego i *Gałązkę jaśminu* Przybylskiego.

— Po raz pierwszy przedstawiono w Warszawie w Nowym teatrze farsę pp. Delacour i Hennequin *Proces Veauradieux.*

— Towarzystwo dramatyczne p. Doroszyńskiego wyjeżdża w tym roku odrazu do Poznania.

Nekrologia. Jakób Abraham Garfield, urodzony dnia 1831 r. w Orange, prezydent Stanów Zjedoczonych Ameryki północnej od dnia 4 marca r. b., zmarł 19 września w skutek ran zadanych przez mordercę Guiteau.

[1]) P. np. *Journal des économistes* z mies. lipca, r. b. str. 15.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Сентября. 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.